BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA LUBLIN

● AIDS W STALOWEJ WOLI ● STRAJK W SPICZYNIE ●
● O LECZENIU IMPOTENTÓW ● O PRYWATNYCH DETEKTYWACH ●
● ŁOBODOWSKI ● Z POWODU MROŻKA ● PROGRAM TV ●

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 9-15 II 1989 R. NR 4 CENA 50 ZŁ

CAŁE POKOLENIA LUDU POLSKIEGO CIĘŻKO ZA TO PŁACIŁY I PŁACĄ

SPOTKANIE W PUŁAWACH

Stanisław Harasimiuk

NA początku było gadanie. Funkcyjni z prezydium głosili referaty, a chłopi, usadowieni rzędami w Sali Rycerskiej, ziewali rozdzierająco lub zgoła odsypiali trudy tygodnia. Referaty bowiem były długie, liczne i wyczerpujące, zgodne z nowym rytuałem. Bez rytuału ani rusz. Obecnie, zgodnie z duchem czasu, w referatach mówi się o nowym stylu, reformowaniu i zdecydowanej walce wydanej pustosłowiu.

Po przerwie, gdy rozbudzeni i pokrzepieni południową herbatą rolnicy wrócili na salę i cierpliwie, w milczeniu odsiedzieli siedemnastominutowe spóźnienie prezydium — zaczęło się prawdziwe spotkanie puławskich ludowców z kolegami prezesami: WK (Tadeusz Bichta z Lublina) i NK (Roman Malinowski z Warszawy).

Z mównicy, lecz z chłopską prostotą i otwartością, Tadeusz Wyskwara z Kurowa powiedział, że Polska Ludowa rosła nie tylko na jego oczach, ale i na jego oczach upadała. Upadała, mimo jego ciężkiej, półwiecznej już prawie pracy. Władza, owszem, przez cztery dziesięciolecia bez przerwy przebudowywała, poprawiała, odnawiała, reformowała ustrój i państwo — z bardzo złymi skutkami, bez owoców. Dlaczego? Co jest nie tak, co nie pasuje, gdzie tkwi błąd? Pół wieku uciekło, świat pomknął chyżo do przodu, a my zostaliśmy i pełzamy, toniemy. Nie da się zagadać faktów. Nic nie zmieni faktu, że ZSL jako partia ponosi za to wszystko część odpowiedzialności politycznej. Wszak ZSL nieustannie, od 1948 roku, przynależy do koalicji. Tego nie da się przemilczeć, z tego koniecznie trzeba wyciągnąć wnioski.

Mieczysław Rybak z Żyrzyna, w przeszłości WICI-arz, BCh-owiec, sekretarz PSL, obecnie prezes GK ZSL, wyznał, że jest optymistą. Optymizmu nauczył się, analizując historię. Z nauki tej wynika, że nie ma rzeczy trwałych, nienaruszalnych — największe mocarstwa rozsypują się w proch, idee wietrzeją. To prawda, że my w terenie przez 40 lat byliśmy spychani do kąta i poniżani, powiedział Rybak. Ale to się zmienia. Konkretny przykład. Przed ostatnimi wyborami sekretarz KG PZPR zakomunikował sucho, wyniośle, w dawnym stylu, że wystawi się na stanowisko przewodniczącego GRN 3 kandydatów, wszyscy z PZPR. Rybak na to, że ma być jeden z PZPR, jeden z ZSL i jeden bezpartyjny, sprawiedliwie, niech zwycięży najlepszy. Sekretarz nawet słuchać nie chciał, przy swoim stał twardo, niezłomnie, niby Dzierżyński na pomniku. Więc po godzinnej debacie Rybak i ludowcy wyszli, trzasnąwszy drzwiami. Naza-

Dokończenie na str. 6—7

Fot. Waldemar Stępień

relacje ZE ŚWIATA

■ GDY W RADIOWYM DZIENNIKU wysłuchałem, że „w nocy z 2 na 3 lutego w wyniku zamachu wojskowego obalono w Paragwaju 34-letnią dyktaturę Alfredo Stroessnera", przed oczami stanęli mi polscy misjonarze z Paragwaju, których dokładnie rok temu spotkałem w Brazylii. Bez wielkich słów opowiadali o kraju niemal nam nie znanym, sterroryzowanym przez 75-letniego wówczas prezydenta, syna niemieckiego emigranta i Paragwajki. Jego dyktatura budziła protesty nawet w państwach Ameryki Łacińskiej, przywykłych do rządów „twardej ręki". Polscy misjonarze długo nie mieli prawa wjazdu do katolickiego Paragwaju, a to w obawie przed „komunistyczną zarazą", którą mogli — w opinii Stroessnera — przywlec.

Trudno dziś nawet o prognozy, co do kierunków zmian w Paragwaju. Przywódca rebelii, gen. Andres Rodriguez, dzisiejszy szef republiki, był drugą osobą w hierarchii wojskowej, po dyktatorze. Wiadomo również, że Rodriguez-junior ma za żonę jedną z córek Stroessnera, ale mimo wszystko nie wydaje się, aby była to tylko „kłótnia w rodzinie".

■ SENSACYJNYMI TYTUŁAMI opatrzyła światowa prasa wiadomość o wizycie Eduarda Szewardnadze w Pekinie. Bo też była to pierwsza oficjalna podróż radzieckiego ministra spraw zagranicznych do obchodzącej wkrótce swoje 40-lecie Chińskiej Republiki Ludowej. Ten ewenement kryje ewenement następny: Gorbaczow otrzymał oficjalne zaproszenie do odwiedzenia Pekinu. Zanosi się więc, po dziesięcioleciach, na normalizację stosunków radziecko-chińskich.

■ WOKÓŁ KABULU trwają ciężkie walki; miasto nadal głoduje, chociaż uruchomiono nawet most powietrzny ze Związku Radzieckiego, a podobny most przygotowuje ONZ. Wycofywanie wojsk radzieckich odbywa się w ustalonym porządku; ostatni radzieccy żołnierze opuszczą Afganistan 15 lutego. W obawie przed eskalacją walk, co zapowiadają rebelianci, kilka państw zamknęło ambasady w trosce o bezpieczeństwo dyplomatów.

Władze Afganistanu zamierzają przedstawić koncepcję przekształcenia Kabulu w „miasto otwarte", co pozwoliłoby uniknąć walk o stolicę.

■ NA DRAMATYCZNYM, trwającym 3 dni plenum Związku Komunistów Jugosławii, wzajemnie obciążano się za kłopoty gospodarcze, 250-procentową inflację (każdego miesiąca ceny rosną średnio o 20 proc.), nie rozwiązane problemy narodowościowe.

Plenum, które zapowiadano jako „historyczne", nie przyniosło decydujących rozwiązań.

■ MICHAIŁ GORBACZOW I RONALD REAGAN ponownie kandydują do Pokojowej Nagrody Nobla.

■ KOMISJA WĘGIERSKICH HISTORYKÓW wystąpiła z tezą, że to co działo się na Węgrzech w 1956 roku było powstaniem ludowym. Władze partyjne i państwowe WRL skrytykowały to stanowisko, uważając, że „węgierskiego 1956 r. nie da się określić".

■ ZWIĄZEK RADZIECKI I NRD 1 lutego wprowadziły nowe przepisy celne zakazujące wywozu wielu towarów i podwyższające cło.

■ W MOSKWIE odbyła się uliczna demonstracja naukowców niezadowolonych z wyboru kandydatów na deputowanych ludowych, reprezentujących Akademię Nauk. Mandaty otrzymali funkcyjni i osoby o konserwatywnych poglądach; nie wybrano m. in. Andrieja Sacharowa i Tatiany Zasławskiej.

■ PO NAWIĄZANIU przez Węgry stosunków dyplomatycznych z Koreą Południową, władze Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej nakazały opuścić Phenian węgierskiemu ambasadorowi. Zlikwidowały również swoją ambasadę w Budapeszcie, której gospodarzem był syn samego KIM IR SENA. Wydarzenia te pilnie analizowane są w Polsce i innych państwach socjalistycznych, mających plany wobec Korei Płd., ogromnie interesującego partnera gospodarczego.

■ DŁUGI TZW. TRZECIEGO ŚWIATA wynoszą dziś 1 bilion 300 miliardów dolarów. Nikt nie wierzy, by mogły być one kiedykolwiek spłacone.

■ WEDŁUG RAPORTU ONZ na świecie żyje dziś ponad 5,1 mld ludzi.

■ „NAPOLEON I EUROPA" — to tytuł serialu realizowanego na zamówienie III programu Telewizji Francuskiej. W jednym z odcinków (będzie ich łącznie sześć) zaprezentowana zostanie „sprawa polska", w tym — jak nietrudno się domyślić — romans Napoleona z Marią Walewską. Można liczyć, iż wątek romansowy nie zdominuje odcinka, jako że powstanie on w zespole filmowym „Tor", a wyreżyseruje go Krzysztof Zanussi. Podobno Marii Walewskiej nie zagra jednak Maja Komorowska.

relacje Z KRAJU

■ SŁOWA TE KIERUJEMY DO DRUKU (poniedziałek, 6 lutego) na kilka godzin przed inauguracją „okrągłego stołu". W momencie, gdy trafią one do Czytelnika, znane będą nie tylko nazwiska i twarze (liczne sprawozdania telewizyjne) uczestników tego — bez wątpienia historycznego — spotkania, ale także pierwsze stanowiska w sprawach najważniejszych dla naszego kraju i narodu.

Wyrażamy nadzieję, że spotkanie to, planowane na około 6 tygodni, zakończy się zawarciem nowej umowy społecznej.

■ „JEDYNYM DOGMATEM W MARKSIZMIE WINNO BYĆ TO, ŻE NIE MA ŻADNEGO DOGMATU" — powiedział prof. J. Maciszewski podczas III Ogólnopolskiej Konferencji Teoretyczno - Ideologicznej. Dyskutowano o miejscu i roli partii w procesie przemian, także o najważniejszych problemach politycznych, społecznych i gospodarczych kraju, ale przede wszystkim — o dzisiejszym rozumieniu pojęcia socjalizm. Wielu zabierających głos dowodziło, że dotąd socjalizm utożsamiany był przede wszystkim z rozwiązaniami organizacyjnymi (zapewnienie partii kierowniczej roli w państwie, uspołecznienie gospodarki itd.), natomiast ginęły z pola widzenia istotne cele i wartości socjalizmu: demokracja, sprawiedliwość społeczna, humanistyczne warunki życia, rozwój jednostki. Tak brzmiące głosy spotykały się ze sprzeciwami, w których mowa była o „zdradzie zasad", „wyprzedaży socjalizmu".

Dużą aktywność w czasie konferencji wykazali m. in. prof. Zdzisław Cackowski, rektor UMCS i dr Józef Oleksy, szef bialskopodlaskiej organizacji partyjnej.

■ W KOŚCIOŁACH w ostatnią niedzielę odczytany został list pasterski Episkopatu na „Tydzień modłów o trzeźwość narodu".

■ DYREKTORZY ponad 3 tys. przedsiębiorstw i fabryk, zaproszeni do Warszawy, usłyszeli od przedstawicieli rządu (m. in. Rakowskiego, Sekuły, Wilczka) czego się od niech oczekuje, a później, że zmieniony zostanie dyrektorski status. Mianowicie stać się oni mają menadżerami w zachodnim stylu, z pełnymi tego konsekwencjami: bardzo wysoką pensją, możliwością posiadania udziału w zarządzanym przez nich zakładzie etc. Uczestnicy spotkania, pod wpływem tych nowinek, „wyklaskiwali" zza mównicy swoich kolegów głoszących (także z kartki) komunały w starym stylu. Mimo wszystko na optymizm chyba jeszcze za wcześnie.

■ MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ wystąpiło z propozycją, by o stypendiach decydowali rektorzy i dyrektorzy szkół.

■ Z PÓWODU BRAKU PAPIERU w tym roku — w porównaniu z 1988 — będzie mniej książek. I to aż o 16 mln egzemplarzy.

■ JEDNA TRZECIA POLAKÓW uważa się za biednych, a wśród tych, którzy uważają się za bogatych kolorowy telewizor posiada 32 proc., zaś pralkę — 45 proc. (Dane z badań CBOS).

■ „JEŚLI TEMPO DEPRECJACJI ZŁOTEGO nie ulegnie zmianie, trzeba liczyć się z tym, że w 1989 roku nastąpi trzykrotny wzrost kursu dolara" — powiedział ekonomista, prof. Wacław Wilczyński poznańskiemu tygodnikowi „Wprost".

■ TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ LWOWA (z tymczasową siedzibą w lokalu redakcji „Fantastyki", w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 5) rozszerza swoje wpływy. Honorowym prezesem oddziału stołecznego jest mecenas Henryk Barker Vogelfaenger, czyli popularny Tońko. Jako że mieszka na obczyźnie, a wielu tak bardzo chciałoby widzieć go w Polsce, zrodził się wzruszający pomysł złożenia się na mieszkanie dla Tońka i zaproszenia go nad Wisłę.

Odnotujmy, iż z inicjatywy Komitetu Obywatelskiego miasta Wrocławia na cmentarzu Rodziny Świętej położono kamień węgielny pod budowę Pomnika Orląt Lwowskich. Rozpisano ogólnopolski konkurs na pomnik, otwarto też konto: Bank Zachodni II Oddział Wrocław nr 389219-3418-189-85. Także we Wrocławiu, z okazji przypadającej w przyszłym roku 650 rocznicy otrzymania przez Lwów praw miejskich, zorganizowane zostaną dwudniowe obchody, z sesją naukową i imprezami towarzyszącymi. Wrocławscy lwowiacy gościć będą w swoich domach lwowiaków z całej Polski.

■ O PREPARACIE PROF. TOŁPY raz jeszcze. Przed tygodniem, pisząc o losach owego specyfiku, podaliśmy za „Teleexpressem", że licencję na jego produkcję, z prawem wyłączności sprzedano firmie Torf Corporation z siedzibą w New Jersey, której udziałowcem jest Polka z pochodzenia — Barbara Piasecka-Johnson. Prorektor wrocławskiej AR uzupełnił tę wiadomość: — „Zgodnie z zawartą przez nas umową — powiedział »Trybunie Ludu« — produkcja preparatu zostanie uruchomiona w Polsce i co najmniej 50 proc. torfowego specyfiku będzie sprzedawana w kraju za złotówki...".

Wojewoda wrocławski już wydał pozwolenie i lokalizację dla nowego zakładu.

■ ZIMOWISKA, NIESTETY, BEZ ZIMY. Jedynie w najwyższych partiach gór było trochę śniegu, a na łyżwach jeździć można było tylko po sztucznej lodowej tafli. Organizatorom zimowisk — jak wynika z listów słanych do domów przez dzieciarnię — w tej sytuacji szybko kończył się koncept, czym by tu rozerwać podopiecznych. Domowe ferie upływają natomiast pod znakiem telewizji, kina, czasem książki, a bardzo często... grypy.

relacje Z REGIONU

■ W KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO „BOGDANKA" ubywa urzędników (np. w niedawnym gwarectwie było 4 dyrektorów i 13 zastępców, obecnie jest jeden dyrektor i sześciu zastępców), natomiast przybywa ludzi bezpośrednio zatrudnionych przy wydobyciu węgla. To ostatnie wiąże się z oddaniem do eksploatacji nowego szybu, dzięki czemu dobowy urobek równy jest dziś 5 tys. ton węgla. Za dwa lata wydobywać się go będzie 8 tys. ton. Przypomnijmy w tym miejscu „groźbę" min. Wilczka zapowiadającego, że do 2000 roku Polska zaniecha eksportu węgla.

■ SĄD WOJEWÓDZKI W LUBLINIE odmówił rejestracji NSZZ „Solidarność" Pracowników Zakładu Obliczeniowego i Zakładu Innowacyjnego „Etob". Komitet założycielski nie zgodził się na wykreślenie z nazwy związku słowa „Solidarność". Sąd Najwyższy, do którego trafiła sprawa, orzekł, że organizacja związkowa ma dużą swobodę w sprecyzowaniu swej nazwy pod warunkiem, że nazwa związku zawodowego, tak jak i jego statut — są zgodne z prawem.

Nie ma zatem przeszkód — zaznaczył Sąd Najwyższy — do określenia nazwy związku zawodowego, np. przez słowo „Solidarność", które nie jest słowem przez prawo zabronionym, a samo w sobie nie wypacza celu działalności związkowej.

■ SEJMIK WIEJSKICH ZESPOŁÓW TEATRALNYCH, już czternasty z kolei, odbył się w Tarnogrodzie na Zamojszczyźnie. Wzięło w nim udział jedenaście teatrów z Polski południowo-wschodniej. Spektaklom (w większości były to widowiska obrzędowe) towarzyszyły warsztaty i seminaria metodyczne dla szefów zespołów oraz instruktorów z domów kultury.

■ KILKANAŚCIE LAT zmarnowano (m. in. z powodu przetargów i sporów między przemysłem samochodowym i ciągnikowym), by wreszcie podjąć decyzję o produkcji nowych polskich samochodów dostawczych i rolniczych, które zastąpią przestarzałe żuki i tarpany.

W lubelskiej FSC nareszcie wiedzą na czym siedzą. Produkowane mają tu być samochody nowej konstrukcji o nośności 1200—1800 kg w różnych odmianach (mikrobusy, furgony specjalistyczne) z opisywanym już wielokrotnie wysokoprężnym silnikiem z Andrychowa. Do 1994 roku fabryka ma osiągnąć zdolność produkcyjną 28—30 tys. wozów nowej konstrukcji, zaprzestając do tego czasu wypuszczania „w świat" archaicznych żuków.

■ LUBELSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE, w których drukowany jest także i nasz tygodnik, modernizują się powoli, ale systematycznie. Oto postanowiono zakupić jeszcze w bieżącym roku fotoskład, dzięki czemu produkcja książek i gazet będzie szybsza, a druk staranniejszy i bardziej atrakcyjny. Trzymamy kciuki za powodzenie!

■ SZALEŃSTWO pt. „Konkurs 50 000" mamy (a słuszniej — ma PKO) — za sobą. Mimo ubóstwa wpłaciliśmy grube miliardy, przy czym deklarowano najczęściej po 100 tys. zł, choć nie brakowało i osób zostawiających w kasie po kilka, kilkanaście, a nawet i kilkadziesiąt milionów złotych.

■ PAWEŁ Z „KURIERA LUBELSKIEGO" insynuuje, że „Relacjom" najlepiej jest w kolorze zielonym. Wypatrzył był bowiem w sklepach Pewexu reklamowe nalepki „Relacje — pismem dla Ciebie".

Oświadczamy, że naszym kolorem dyżurnym (co widać) jest kolor czarno-biały.

KSIĄŻKI DLA LWOWA...

...a bliżej dla dzieci z tamtejszych dwu polskich szkół przekazali ostatnio na nasz apel: **Czesław Sobieszek** (48 tytułów), **Alicja Szymczyk** (14), **Jerzy Święch** (40), **Irena Korek** (20), pani, która prosiła o anonimowość (8) oraz **Muzeum na Majdanku** (30). Dziękujemy pięknie!

Tym, którzy jeszcze chcieliby w naszej redakcji pozostawić książki dla lwowskich dzieci (najchętniej: klasyka polska, biografie wielkich rodaków, słowniki j. polskiego, śpiewniki itp.) podajemy nasz adres — ul. M. Skłodowskiej 2, 20-950 Lublin, najlepiej w godz. 9—15. Informujemy również o możliwości dokonywania dowolnych wpłat na następujące konto: BDK I Oddział w Zamościu 339403-10937-132 z dopiskiem „Społeczny Komitet Akcji Książki dla Lwowa".

Opracował: **Zbigniew Miazga**

AIDS W STALOWEJ WOLI

Waldemar Piasecki

JEST sobota. 4 lutego bieżącego roku. Trochę się pogubiłem, więc pytam dwóch wyrostków leniwie obserwujących samochody, którędy do Stalowej Woli. Spoglądają po sobie i głupawo się uśmiechają.

— A co „ajdsa" chce pan złapać — pyta wyższy.

— To się już teraz nazywa Ajdsowa Wola... — dodaje niższy o głowę rudzielec.

Nazwę choroby i tworzone od niej przymiotniki wymawiają właśnie tak, jak piszę: przez wyraźne, przeciągłe „aaaj—" na początku. Trochę dziwi, ale później okaże się, że w Stalowej Woli też się tak mówi.

W kiosku „Ruchu" przy ulicy Podleśnej pytam o „Nowiny" z czwartku. Nie ma. Stojąca za mną w kolejce dziewczyna włącza się do rozmowy.

— Nie kupi pan. Ta gazeta już kosztuje trzysta złotych. Całe miasto pod strachem żyje! Nie wiadomo ile naprawdę jest zarażonych. Dziewczyny boją się umawiać z chłopakami, bo nigdy nie wiadomo. — Stara się być uprzejma i dobrze zorientowana.

Kwadrans później, w mieszkaniu inżyniera pracującego w Hucie Stalowa Wola od trzydziestu pięciu lat.

— Mamy już dość tych sensacji wokół Stalowej. Jak nie strajki, to śmierć milicjanta, jak nie zasiarczenie powietrza, to znów AIDS. Tylko tego nam brakowało. Właściwie to ten zarażony nie był pracownikiem huty, a pracował w zakładowej straży pożarnej. Znałem go z widzenia. Wysoki, szczupły, ciemnowłosy, ogólnie przystojny mężczyzna. Na swoją „czterdziestkę" absolutnie nie wyglądał. Kręcił się po hotelach robotniczych na ulicy Wasilewskiej. Jak mi mówił syn, widywano go w tamtejszym „Hotklubie". Był bardzo towarzyski, uprzejmy, dowcipny. No i miał silny atut: dolary. Przez dwa i pół roku był w USA. Gdzieś tam pracował, więc nawiózł trochę grosza i mógł imponować. Stawiał, urządzał prywatki. Zawsze był w towarzystwie, kręcili się przy nim satelici...

Kiedy się okazało, że Tadeusz S. jest chory, w przychodni zdrowia Huty Stalowa Wola zapanował popłoch. Najbardziej w strachu były dwie dentystki, które go leczyły. Zaraz pojechały na badania do Warszawy. W jakim strachu były pielęgniarki z interny w naszym szpitalu, to ja już nie mówię. Przez dwa dni leżał, a nie było wiadomo, że to może być AIDS, tylko leczono zapalenie płuc. Kiedy go przeniesiono na dermatologię, już było wstępne rozeznanie i personel chyba uważał na siebie... — słucham opowiadania inżyniera.

Padają w nim także inne „szczegóły" i „rewelacje". Są jednak zbyt sensacyjne i zbyt słabo poparte faktami, aby je powielać. Dotyczą rzekomych kontaktów chorego homoseksualisty; ich „geografia" istotnie może wywoływać w tym mieście emocje.

— Panie, jesteśmy na dnie! — energicznie zawoła taksówkarz podwożący mnie w okolice hoteli robotniczych przy Wasilewskiej, gdy zagadnę o sprawę Tadeusza S. — Ja mogę wiele zrozumieć, też nie jestem anioł, ale żeby za dziesięć dolców dawać dupy jakiemuś pedałowi?! Nie, to się w pale nie mieści! Dno i... kilometr mułu!

Skąd się wzięło te „dziesięć dolców" już mi nie powie. On wie i już. Różnych ludzi się wozi, to się dużo wie. Zresztą liczba „10" w kontekście taryfy, jaką rzekomo wypłacał swoim partnerom Tadeusz S. w dolarach, powtórzy się jeszcze tego dnia kilkakrotnie. O „zielone" zapytał także, rozmawiając z ordynatorem oddziału dermatologii stalowowolskiego szpitala dr. med. Kazimierzem Wojasem, korespondent „Nowin" („AIDS nad Sanem!", 2 lutego br.). Otrzymał odpowiedź nie na temat, wymijającą. Lekarz powiedział tyle, ile chciał. Funkcjonuje więc te dziesięć dolarów w Stalowej Woli, jako symbol degrengolady moralnej.

Telefonuję do ordynatora Wojasa. Wyjechał do Warszawy, ma być około szesnastej, domownicy doradzają kontakt o tej porze. Skoro nie można zacząć od końca, od miejsca, z którego Tadeusz S. trafił do warszawskiego Instytutu Chorób Zakaźnych, trzeba próbować od początku, od przychodni hutniczej, w której się leczył. Lekarz dyżurny mówi, że chorego przyjmował na dyżurze lek. med. Andrzej Syp, a potem konsultował przypadek lek. med. Andrzej Słaba, rentgenolog. On też kierował Tadeusza S. do szpitala i on, jako pierwszy, postawił diagnozę: AIDS. Doktor Słaba nie unika rozmowy. Spotykamy się w szpitalu, gdzie ma akurat dyżur. Już po kilku zdaniach widać, iż jest to nie tylko lekarz i specjalista w swym fachu, ale także humanista o znacznie szerszych horyzontach niż te, jakie mogły mu zakreślić studia oraz praca w tej wielkości mieście, z dala od klinik i szpitali akademickich.

— 13 stycznia, w piątek miałem dyżur w przychodni w hucie. Krótko po południu trafił na prześwietlenie płuc Tadeusz S. Był w złym ogólnym stanie zdrowia. Miał gorączkę, narzekał na ból w płucach, osłabienie, miał znacznie powiększone węzły chłonne. Kierujący go do mnie, młodszy kolega Andrzej Syp nie miał sprecyzowanego zdania. Powiększone węzły sugerować mogły chorobę nowotworową. Po wykonaniu zdjęcia rtg okazało się, że S. ma niewielki naciek. Już wtedy wiedziałem, że rozpoznanie tylko zapalenia płuc jest po prostu zbyt banalną diagnozą. Kiedy pacjent czekał na wynik prześwietlenia, usiłowaliśmy przeprowadzić wywiad pod kątem ewentualnego zainfekowania wirusem HIV lecz Tadeusz S. zdecydowanie odrzucał zawarte w pytaniach podejrzenia. Na przykład mówił, że nie był za granicą, chociaż ja wiedziałem, że był w USA. Do objawów AIDS „pasowały" także mięsaki Kaposiego, jakimi pokryte było jego ciało. Powiedziałem pielęgniarce, że trzeba go koniecznie skierować do szpitala. Przyznaję: nie odważyłem się na wypisanie rozpoznania: „AIDS". Nie wiem czy znalazłby się jakiś lekarz w Polsce, który by to zrobił nie mając jednoznacznych badań krwi. Po pracy w przychodni pojechałem od razu do szpitala. Lekarzem dyżurnym Izby Przyjęć był tego dnia lek. med. Stanisław Pieprzny. Powiedziałem mu: „Uczulam cię na możliwość AIDS i przekaż to dalej". Pacjent jednak nie dopuszczał nawet myśli o takim zagrożeniu. Reagował impulsywnie.

Był piątek, po południu. Normalna praca szpitala zakończona. Pozostawali w nim jedynie dyżurni lekarze i personel. Tadeusza S. skierowano więc na oddział wewnętrzny i zaordynowano leczenie, jak przy zapaleniu płuc.

4 lutego br. rozmawiam z dr med. Alicją Brzezińską, znanym internistą stalowowolskim.

— Pacjent przybył, jak wiem, w piątek późnym popołudniem na nasz oddział. W sobotę już była poważnie rozważana koncepcja AIDS. Po konsultacji z oddziałem dermatologicznym, ordynator podjął decyzję o przeniesieniu chorego na tamten oddział, co nastąpiło w poniedziałek 16 stycznia br. Tyle mogę powiedzieć na ten temat.

Pani doktor dodaje też, że szum wokół sprawy przypadku AIDS w Stalowej Woli wydaje się jej przesadzony.

KIEDY jednak rozmawiam z pielęgniarką oddziału dermatologicznego, ta nie ukrywa zaniepokojenia. Wszystkie zabiegi przy chorym wykonywane były w gumowych rękawiczkach, między innymi zastrzyki i pobieranie krwi, ale już nieczystości pacjenta szły do ogólnych ścieków, a więc w konsekwencji do Sanu. I ona nie wie czy tak powinno być. Z kolei pielęgniarka z oddziału wewnętrznego, do której docieram nie bez trudu, mówi, że ma zastrzeżenia co do trybu prowadzenia pacjenta. Uważa, że o podejrzeniu choroby AIDS oddział wewnętrzny i jego personel powinni wiedzieć z chwilą pojawienia się Tadeusza S. w ich oddziale. Naturalnie obie nie podają nazwisk, bo nie chcą mieć kłopotów.

Pierwszym dermatologiem-wenerologiem, który konsultował Tadeusza S. była lek. med. Leokadia Kałdanowa, ceniony specjalista, prowadząca prywatną praktykę.

— Kiedy zobaczyłam chorego, nie miałam poważniejszych wątpliwości co do rozpoznania. Był to szkoleniowy przypadek AIDS z bardzo dużą ilością objawów tej choroby. Przede wszystkim: rozsiane mięsaki Kaposiego, zmiany drożdżakowe jamy ustnej i kącików ust, naciek płucny, zlewne poty, spadek wagi ciała. Powiadomiłam o moim podejrzeniu ordynatora naszego oddziału, doktora Kazimierza Wojasa, który oglądał i badał chorego w około godzinę później. Było to w sobotę, 14 stycznia br. Od tego dnia można powiedzieć, że sprawa rozpoznania jednostki chorobowej nie budziła naszych wątpliwości. Naturalnie trzeba było poczekać na wyniki badań krwi. W poniedziałek odesłaliśmy do badania w Warszawie surowicę krwi chorego, a w środę otrzymaliśmy wynik badania, który potwierdził nasze przypuszczenia i diagnozę. We czwartek, 19 stycznia br. Tadeusz S. został odwieziony karetką do Instytutu Chorób Zakaźnych, gdzie przebywa do dziś.

Rozmowa z panią doktor, poza walorami faktograficznymi, jest pożyteczna poznawczo. Mówi wiele o mentalności homoseksualistów i ich zakodowanych oporach w przyznawaniu się do ich upodobań seksualnych. Leczy ich (chodzi naturalnie o choroby weneryczne) od wielu lat i wie, że właśnie ów moment przyznania się jest najtrudniejszy. Kiedy już pacjent ma to za sobą, zwykle bez oporów opowiada o swoich kontaktach partnerskich.

Tak było również w przypadku Tadeusza S. W 1985 roku wyjechał do USA, gdzie utrzymywał kontakty ze środowiskiem homoseksualistów. Tam zapewne doszło do infekcji wirusem HIV. W maju 1987 roku powrócił do Polski i Stalowej Woli, gdzie pracował przed wyjazdem. Ponownie zatrudnił się jako strażak w hucie. Szybko również odnowił swoje znajomości w środowisku miejscowych homoseksualistów i stał się jego czołową postacią. Sprzyjały temu zarobione w USA dolary oraz zamiłowanie do balowania. Nie miał kłopotów z nawiązywaniem kontaktów towarzyskich, które przechodziły potem w formy związków bardziej konkretnych. Jak się udało ustalić, Tadeusz S. miewał od powrotu stosunki z dziewięcioma partnerami — mężczyznami. Wszyscy oni są ludźmi młodymi, sporo młodszymi od 41-letniego „amanta". Jeden z nich jest niepełnoletni, chodzi jeszcze do szkoły. Wśród tej grupy znajdują się przedstawiciele różnych środowisk i grup zawodowych. Jakich? Kto? Tego doktor Kałdanowa nie może powiedzieć. A ja nie nalegam, bo nie jestem wcale przekonany czy ta wiedza jest mi potrzebna.

U dwóch partnerów Tadeusza S. badanie krwi dało pozytywny wynik. Nie można jednak przesądzić sprawy zakażenia wirusem jednoznacznie, bo zgodnie z procedurą, badanie ma być spozytywizowane, przeprowadzone ponownie. Obok partnerów chorego, badaniom poddano kilka osób, które stykały się z S. i mogły zostać zakażone w okolicznościach innych niż stosunek płciowy. Do grupy tej należały m. in. dwie dentystki leczące chorego. W żadnym z tych przypadków nie odnotowano dodatniego wyniku testu.

Odrębną kwestią pozostaje obszar nieznanych kontaktów Tadeusza S., jeżeli oczywiście takie były. Chory twierdzi, że wymienionych dziewięciu mężczyzn było jedynymi po powrocie z USA. Czy jest tak w rzeczywistości, trudno powiedzieć. Oczywiście powinna obowiązywać zasada „dobrej wiary", ale też nie można odmówić racji tym, którzy mogą mieć czy mają wątpliwości. Byłoby zapewne przesadą przypisywać mu ponurą sławę Gaetana Dugasa, pacjenta „zero", który zarażał AIDS około 250 partnerów rocznie, ale Tadeusz S., ze względu na swoją względną „popularność" podejrzewany jest powszechnie w Stalowej Woli o znacznie szersze kontakty niż te, które deklaruje.

Jak wspomina doktor Kałdanowa, Tadeusz S. do końca nie chciał wierzyć w swoją chorobę. Starał się jej nie przyjmować do wiadomości. O AIDS naturalnie wiedział wiele, jak zresztą zdecydowana większość homoseksualistów, miał jednak nadzieję, że choroba jego akurat ominie. Tym zapewne należy tłumaczyć jego ociąganie się ze zgłoszeniem lekarzowi zmian skórnych, a przybycie do gabinetu dopiero w sytuacji poważnego już wyczerpania organizmu i utrzymującej się wysokiej gorączki. Być może, gdyby przed kilkoma miesiącami przyszedł do dermatologa, a ten rozpoznałby mięsaki Kaposiego, sytuacja potoczyłaby się inaczej. Tadeusz S. byłby od tego czasu hospitalizowany, a jego partnerzy odcięci od źródła potencjalnego zagrożenia. Wszystko to jest jednak czystą spekulacją.

Ponownie telefonuję do dr. Wojasa. Żona informuje, że wrócił z Warszawy, ale go nie ma w domu. Sugeruje telefon nazajutrz. Dziwi się też, że dziennikarz pracuje w... wolną sobotę.

WSPOMNIANY już doktor Słaba, dzieląc się refleksjami nad przypadkiem AIDS w Stalowej Woli, powiedział między innymi, że sytuacja ta pokazała słabość naszej służby zdrowia. Jest ona po prostu bardzo słabo przygotowana do takich zdarzeń. Nie tylko nie ma w terenie możliwości szybkiego przeprowadzenia testów laboratoryjnych szybko rozstrzygających obecność (lub brak) wirusa HIV we krwi, ale szpitale prowincjonalne nie mają nawet pełnych możliwości izolowania takich przypadków chorobowych. W Stalowej Woli całość problemu nabiera szczególnej wagi, bowiem jest to miasto (zresztą całe okolice też) o silnych powiązaniach z USA. Nie ma bloku, a niektórzy mówią, że nawet klatki schodowej, z której ktoś nie jeździłby na zarobek do Ameryki.

— Dopóki cały problem AIDS sprowadzał się do stu ulotek, jakie nam przysłano w ramach prewencji, to się można było pośmiać — mówi Zbigniew Słaba. — Kiedy jednak staje się z przypadkiem AIDS oko w oko, jest to już mniej zabawne. Wtedy zaczyna się dramat, bo przestają działać mechanizmy racjonalne. Niby wiadomo, w jakich warunkach następuje zakażenie, niby wiadomo, jak się bronić przed nim. Niby wszystko jest takie jasne, ale ludzie pozostają zawsze ludźmi. Z ich prywatnym strachem. Nawet, gdy to są lekarze czy pielęgniarki.

PODOBNO pościel i materac, na których spał Tadeusz S. w szpitalu, zostały spalone. Spotkałem takich, którzy twierdzili, że powinno być również spalone (w piecu hutniczym) całe łóżko. Niestety, także i takich, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, aby razem z łóżkiem spotkało to także samego pacjenta.

PS. Personalia pacjenta: „Tadeusz S." zostały zaczerpnięte z „Nowin". Są to dane zmienione, czemu trudno się dziwić.

„NA TEMAT IMPOTENCJI KRĄŻY MNÓSTWO LEGEND, MITÓW I PÓŁPRAWD"

JAKBYM SIĘ NA NOWO URODZIŁ

Andrzej W. Pawluczuk

PRZYPADŁOŚĆ tę uważa się za wstydliwą, dżentelmeni nie rozmawiają o niej przy stole, ale jest na tyle częsta, że zaczyna uchodzić za chorobę społeczną. Cierpi na nią co dwudziesty dorosły mężczyzna w Polsce.

Jest przyczyną wielu tragedii, także — samobójstw. Innych skazuje na samotność, odbiera im radość życia i chęć do pracy. Niektórzy leczą to alkoholem, ale alkohol pozwala tylko na chwilę zapomnieć, odsunąć na jakiś czas myśl, że nie jest się mężczyzną.
Impotencja.

IMPOTENCJĄ nazywają lekarze taki stan, który uniemożliwia mężczyźnie odbycie stosunku płciowego. Nie jest to zatem równoznaczne z niepłodnością, co wyjaśniam od razu, gdyż panują w tej mierze nieporozumienia. Można być więc impotentem zdolnym do spłodzenia potomstwa (np. dzięki sztucznej inseminacji), tak jak można odbywać normalne stosunki z kobietą i nie być zdolnym do jej zapłodnienia. Impotentem jest zatem mężczyzna, który cierpi na zaburzenia wzwodu: albo nie ma go w ogóle, albo jest on nikły lub zbyt krótki.

Notuję te podstawowe wiadomości, ponieważ zdaniem mojego rozmówcy, docenta doktora habilitowanego nauk medycznych Janusza Darewicza, na temat impotencji krąży mnóstwo legend, mitów i półprawd, które sprawiają, że ta bardzo poważna dolegliwość nie jest traktowana jako choroba, ale rzecz wstydliwa, z którą należy się kryć.

Doc. Darewicz nie oszczędza w tej mierze także środowiska lekarskiego, podkreśla jednak z naciskiem, że w tym przypadku problem tkwi w czym innym. Chodzi mianowicie o umiejętność (a raczej jej brak) trafnego postawienia diagnozy, a więc — odpowiedniego leczenia. Wynika to z faktu, że specjalistów, którzy zajmują się tym problemem, jest w Polsce niewielu. Większość pacjentów trafia zatem do lekarzy, którzy impotencją nie zajmują się profesjonalnie. Toteż zdarza się często, że młody mężczyzna leczony jest za pomocą hormonów, chociaż gospodarka hormonalna w jego organizmie funkcjonuje znakomicie.

— Jeżeli zatem do sytuacji społecznej — konkluduje docent Darewicz — dołożymy niedostatki naszej służby zdrowia, otrzymamy niewesoły obraz sytuacji. W skrócie: mężczyzna często nie wie w ogóle, że może zostać wyleczony, a jeżeli przełamie wstyd i pójdzie do lekarza, otrzymuje często złą diagnozę, która skutkuje błędną kuracją. A skala problemu jest ogromna. Przyjmując za rocznikiem statystycznym, że populacja dorosłych mężczyzn w Polsce w wieku 18—55 lat wynosi 9 milionów, i zakładając, że co dwudziesty jest impotentem, otrzymujemy wielką armię 450 tysięcy osób w sile wieku, które są bezustannie sfrustrowane, mało wydajne w pracy, rozdrażnione, skazane na wieczny stres, wynikający z poczucia, że jest się człowiekiem mniej wartościowym.

Nietrudno wyobrazić sobie te 450 tysięcy osób. To tylko trochę mniej niż półtora Lublina, ale więcej niż cały Szczecin. Lecz jeżeli patrzymy na miasto, widzimy zawsze ludzi w różnym wieku, kobiety, mężczyzn, dzieci i staruszków. Tymczasem nasza 450-tysięczna armia składa się z samych mężczyzn, ze zdrowych, silnych mężczyzn w kwiecie wieku, którzy zamiast radować się z życia, dokonywać wynalazków czy być po prostu normalnymi kumplami w robocie, zżerani są przez myśl, że nie mogą położyć się do łóżka z kobietą.

Zdaniem seksuologów, jest to takie samopoczucie, które przygniata mężczyznę do ziemi. Można nawet powiedzieć, bez obawy popadnięcia w przesadę, że taki mężczyzna nigdy nie będzie pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Ani jako głowa rodziny, ani jako osoba znajdująca potwierdzenie swojej podmiotowości w pracy.

Wprawdzie słyszy się często, że z impotencją płciową idzie zazwyczaj w parze tzw. impotencja umysłowa, to jednak, zdaniem docenta Janusza Darewicza, pogląd taki jest najzwyklejszym przesądem. W każdym razie, powiada, nie wykryto, jak dotąd, takiej prawidłowości, on zaś, na podstawie swojej własnej praktyki lekarskiej, nie umiałby tego poglądu miarodajnie zweryfikować.

NASZA rozmowa odbywa się w niedużym pokoju, usytuowanym na piątym piętrze Państwowego Szpitala Klinicznego w Białymstoku przy ul. Skłodowskiej. Pod tym sucho brzmiącym adresem topograficznym znajduje się Klinika Urologiczna białostockiej Akademii Medycznej, a doc. Darewicz jest kierownikiem kliniki i jednocześnie prorektorem AM (do spraw klinicznych). Zaś białostocka klinika jest jedynym miejscem w Polsce, gdzie leczy się chirurgicznie impotencję. Leczy — dodajmy — skutecznie.

Rozszerzmy jednak nasze spojrzenie na problem i nie patrzmy nań tylko jak na chirurgiczne naprawienie niesprawnego organizmu. Seks bowiem, mówi docent Darewicz, najpierw ustanawia, a następnie przez wiele, wiele lat kształtuje więź między kobietą i mężczyzną. Jeżeli w tej sferze życia następuje patologia, to ta więź ulega rozpadowi, co kończy się nierzadko prawdziwą tragedią. „Nasza klinika naprawia więc tę zerwaną nić międzyludzką. Takie jest nasze zadanie".

Ale zanim przystąpi się do naprawy, trzeba wiedzieć, co naprawiać. Kilkakrotnie już padło w naszej rozmowie słowo „diagnoza" i pewnie zostanie ono wypowiedziane jeszcze wiele razy. Cóż, jeżeli bowiem jest to jedyna tego rodzaju klinika w Polsce, to przyjeżdżają tu pacjenci z całego kraju, a jeżeli tak, to nietrudno przyszło tutejszym lekarzom uchwycić pewne statystyczne prawidłowości. Zacznijmy przeto od początku.

Otóż podłożem około połowy przypadków niemocy płciowej są przeżycia natury psychicznej. Wymieńmy najważniejsze, choć może nie w kolejności występowania: stres sytuacyjny, spowodowany konfliktami w pracy i w domu, brak wiary we własne siły oraz zahamowania związane z nieudanym pierwszym zbliżeniem z kobietą. Dla młodego mężczyzny jest to przeżycie niezwykle bolesne, a jeżeli nie spotka on szybko rozumnej i taktownej partnerki i kolejne próby będą także nieudane — spowodować to może impotencję, która będzie wymagała długotrwałego i uporczywego leczenia. Ale w białostockiej klinice nie zajmują się tego typu przypadkami. Tutaj przyjmuje się tylko takich pacjentów, którzy wymagają interwencji chirurga, a więc u których impotencja ma podłoże organiczne.

Docent Darewicz wylicza najważniejsze przyczyny: wady wrodzone i urazy, zmiany spowodowane przez alkoholizm i narkotyki, a także — uwaga! — wieloletnie palenie tytoniu. Wreszcie — cukrzyca, która w prawie 60 proc. przypadków powoduje impotencję. Należy także przestrzec mężczyzn przed zażywaniem tzw. betablokerów stosowanych w chorobach serca. Niestety — nie wszyscy kardiolodzy mają w tej mierze odpowiednie rozeznanie.

Pytam, jak trudne jest postawienie właściwej diagnozy i czy zawsze się to udaje.

— Rozpoznanie przyczyn niemocy płciowej jest bardzo skomplikowane — odpowiada docent Darewicz. — Trzeba zbadać układ nerwowy i naczyniowy, a w nim — dopływ krwi tętniczej i odpływ żylnej. Kiedyś nie potrafiono przeprowadzać takich badań, ale dzisiaj umiemy już w każdym przypadku wykryć przyczynę impotencji organicznej i możemy wyleczyć praktycznie każdego pacjenta.

— Wyleczyć całkowicie?

Mój rozmówca sięga do szuflady i wyjmuje dwa przezroczyste elementy o kształcie ołówka; ich średnica wynosi 10 milimetrów, a długość kilkanaście do dwudziestu centymetrów. Biorę jeden do ręki. Jest to sztywne, lekkie i elastyczne.

— Silikon?

— Tak, silikon. W razie konieczności wszczepiamy pacjentowi dwie takie protezy. Na Zachodzie praktykuje się to na wielką skalę. A u nas? Cóż...

Mój rozmówca nie dokończył tej myśli, gdyż jest człowiekiem niezwykle taktownym. Kończę więc za niego: a u nas, w Polsce, proszę państwa, opłaca się pracę lekarza tak haniebnie nisko.

„POLMOS" PRZED SĄDEM (4)

NA RZECZ REPREZENTACJI

Izabella Wiazłowska

SĄD zarządził przerwę. Z ulgą opuszczam ławę dla publiczności i idę rozprostować nogi na korytarzu. Do Kazimiery W. podchodzi córka. Obydwie płaczą. Oskarżeni odpowiadający z „wolnej stopy" udają się też na korytarz.

O godzinie 12 sąd wznawia posiedzenie. Prokurator kontynuuje czytanie aktu oskarżenia:

„Oskarżam Alinę Ł. o to, że jako zastępca dyrektora ds. handlowych Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos" zagarnęła na szkodę zakładów 465 butelek alkoholu wartości 400 145 zł oraz nie mniej niż 3,5 mb. wykładziny podłogowej, 7 mb. materiału zasłonowego i 3,5 mb. firanek łącznej wartości 6 864 zł, przy czym część zagarniętego alkoholu przekazała w postaci korzyści majątkowej różnym osobom w związku z pełnionymi przez nie funkcjami publicznymi...".

Długa jest lista osób wymienionych przez prokuratora, którym Alina Ł. wręczała wódkę. Znaleźli się na niej: prezes i wiceprezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Czechów" w Lublinie, ordynator oddziału w Szpitalu Kolejowym, dyrektor Oddziału Narodowego Banku Polskiego, dyrektor Oddziału Banku Polskiego Kasa Opieki SA, dyrektor i zastępca dyrektora Oddziału PKS, kierowniczka i jej zastępca Domu Towarowego „Sezam", kierowniczka zespołu handlowego Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego „Pewex", kierownik zaopatrzenia Dyrekcji Okręgowej Poczty i Telekomunikacji, prezes i wiceprezes Miejskiej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Lublinie.

Prokurator wymienia też nazwiska kierownictwa Przedsiębiorstwa „Polmos" w Warszawie, Biura Sprzedaży Pomp i Armatury Przemysłowej w Gliwicach, Lubelskiej Spółdzielni Spożywców „Społem", zastępcy dyrektora P.P. „Polmozbyt" w Lublinie, a także kierowniczek sklepów cukierniczego i mięsnego. Na „czarnej liście" znalazło się także kierownictwo Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie.

*

Dopiero w styczniu 1988 roku, a więc w drugim miesiącu po aresztowaniu, Alina Ł. oświadczyła:

— Chciałam powiedzieć, dlaczego tak długo kłamałam i odmawiałam wyjaśnień. Powodem było polecenie wojewody Tadeusza W., abym w tej sprawie nic nie mówiła, a on nie pozwoli, aby sprawa nabrała jakiegokolwiek rozgłosu. Rozmowa ta odbyła się w gabinecie W. w poniedziałek, tj. w dniu aresztowania Włodzimierza T. i innych pracowników „Polmosu". Wyraziłam wtedy obawę, że w związku z aresztowaniami mogą być kłopoty i dla mnie, i dla wojewody.

18 listopada rozmawiał ze mną dyrektor Ł. Dyrektor uspokoił mnie również, mówiąc o ewentualnej interwen-

że taniej kosztuje kilkugodzinna, skomplikowana operacja na naczyniach krwionośnych, niż dwa kawałki silikonu, to prawda, z importu. Oczywiście decyzja, czy należy wykonać operację mikrochirurgiczną, czy też wszczepić protezę, zależy od rozpoznania i wskazań do zabiegu, ale gdy brak protez, albo pieniędzy na protezy?

Tyle tytułem wprowadzenia, które czyta się gładko i szybko, ale które musiało trwać kilka długich godzin, abym jutro — kiedy przyglądać się będę operacji — wiedział, na co patrzę.

LECZENIE impotencji zaczęto stosować w białostockiej Klinice Urologii trzy lata temu, ale pierwszą operację mikrochirurgiczną zrobiono dopiero w roku 1987. Mikrochirurgiczną — to znaczy polegającą na wszyciu dodatkowej tętnicy bądź połączeniu tętnicy z układem żylnym. Taki zabieg wykonywany jest pod mikroskopem, wymaga niesłychanej zręczności i doskonałego współdziałania operatora i asystenta.

Doc. dr hab. Janusz Darewicz przy pracy.

Fot. A. W. Pawluczuk

Byłem tego dnia w klinice już o 8.10. Po krótkim zebraniu lekarzy — obchód, w którym uczestniczą także pielęgniarki oraz studenci. Ja także dostałem biały fartuch i — nie odróżniając się od personelu kliniki — przysłuchuję się i notuję. Najpierw sala 1. To tutaj leży młody mężczyza, którego przywieziono wczoraj wieczorem po bardzo bolesnym wypadku. Pracował przy maszynie rolniczej, ale tak nieuważnie, że pas transmisyjny chwycił najpierw za spodnie, by natychmiast wciągnąć je, a wraz ze spodniami mężczyzna stracił całą skórę z członka. Notuję dosłownie słowa ordynatora: „prącie zostało całkowicie oskalpowane".

Robi to wrażenie dosyć niecodzienne, a nawet — dla kogoś jak ja, kto styka się z medycyną tylko jako pacjent — można powiedzieć, że zabawne. Spod bandaży, jakimi opatulone jest krocze, wygląda kawałek obandażowanego członka. Obandażowane jest także lewe udo. Docent Darewicz przyzywa mnie gestem, abym zbliżył się do łóżka. — To już ósmy w naszej klinice wypadek tego typu — mówi — i ósma operacja. Ze skóry, którą pobraliśmy z uda, wytworzono nową skórę na prąciu. Operacja udała się i pacjent, po opuszczeniu szpitala, nie powinien czuć się gorzej niż przed wypadkiem.

Przechodzimy do sali nr 4. Na ośmiu łóżkach i trzech tzw. dostawkach leżą pacjenci ze schorzeniami nerek. Wszyscy starsi, wyraźnie po pięćdziesiątce, niektórzy ze śladami cierpienia na twarzy. Ordynator rozmawia dłuższą chwilę ze szczupłym mężczyzną leżącym przy oknie. Pyta, czy pamięta o diecie, co ważne, ponieważ jutro będzie operowany. Wydaje dyspozycje siostrze oddziałowej i lekarzom.

Następnie sala 6. Tu leżą wyraźnie młodsi, to właśnie ci, których niedomagania są tematem tego reportażu. Docent Darewicz wskazuje mi pacjenta, który za kilkanaście minut pojedzie do bloku operacyjnego. Jest to młody, przystojny chłopiec, któremu nie dałbym więcej jak 22 lata. Dla moich dziennikarskich potrzeb pacjent odpowiada na kilka pytań. Niedomagał zawsze, to znaczy — mówiąc już obrazowo — nie pamięta, aby miał kiedykolwiek wzwód. Czuje pociąg do dziewcząt, ale nie podejmował jeszcze próby stosunku. Obok niego zajmuje łóżko niewysoki mężczyzna w wieku około 40 lat. On pójdzie na stół operacyjny jutro. Jest w klinice po raz trzeci. Poprzednio dwa razy przechodził skomplikowane badania diagnostyczne i testy.

Kierownik kliniki nie ukrywa przed pacjentami, że jestem dziennikarzem, który chce napisać reportaż o leczeniu impotencji. Ale żaden z mężczyzn nie wydaje się skrępowany moją obecnością. Wszyscy też wyrażają zgodę na udzielenie mi krótkich wywiadów o swoim życiu. Z kolei ja czuję się zmieszany ich bezpośredniością i zaufaniem. Nie przywykłem do takiej intymności w stosunkach z mężczyznami.

Na zakończenie obchodu docent Darewicz wylicza: mikroskop — pożyczony z okulistyki, narzędzia wypożyczone z neurochirurgii, ale część materiałów po prostu „zorganizowaliśmy". Tak więc jedyna tego typu klinika w Polsce, która leczy chirurgicznie impotencję, nie ma własnych narzędzi i mikroskopu.

PO obchodzie krótka kawa w gabinecie ordynatora i o godzinie 8.50 — przebrani i z maseczkami na twarzy — jesteśmy dwa piętra niżej, w bloku operacyjnym. Pacjent znajduje się już na stole, ale nie jest jeszcze uśpiony i — dowiaduję się ze zdziwieniem — uśpiony nie będzie. Przez całą, długą, trzygodzinną operację zachowa pełną przytomność, będzie rozmawiał, widział i wiedział, co się wokół niego dzieje. Nie będzie tylko czuł bólu, a o to właśnie chodzi. Takie znieczulenie nazywa się nadoponowe, a polega na tym, że za pomocą igły wprowadza się do kręgosłupa specyfik o nazwie xylocaina. Dr Helena Doroszkiewicz, doświadczony anestezjolog, która pracuje z doc. Darewiczem od 1963 roku, wykonuje ten zabieg sprawnie i szybko. Przez twarz chłopca przemknął lekki grymas i już jest po wszystkim. Za 20—30 minut znieczulenie zacznie działać, to znaczy od pasa w dół będzie go można pokroić, a on nie poczuje bólu.

Ale nikt nie stoi bezczynnie. Obok stołu z narzędziami krzątają się dwie pielęgniarki. Trzecia umieszcza na piersiach pacjenta cztery elektrody, które podłączone do monitora przekazywać będą dane o pracy serca i uderzeniach tętna. Po chwili słychać dźwięczne „pik, pik" i w tym samym rytmie pulsuje w aparacie czerwone światełko. Obok zegar wyświetla czerwone liczby: 80, 80, 81, 80, 79... To wyliczane natychmiast przez mikrokomputer zmiany w uderzeniach tętna. Pracuje także monitor EKG. Tętno waha się nieznacznie, a więc wszystko w normie.

O 9.20 zaczyna się operacja. Nad pacjentem pochylają się dwaj lekarze: doc. Janusz Darewicz i asystujący mu dr Lech Gałek. Po przecięciu skóry brzucha następuje wyszukanie odpowiedniej tętnicy, wyizolowanie jej i przecięcie. Jeden koniec tętnicy zostanie podwiązany, drugim końcem skierowana ona zostanie do prącia, gdzie będzie połączona z żyłą grzbietową. To jest właśnie celem operacji: połączenie tętnicy z żyłą prącia po to, aby zasilić prącie dodatkową ilością krwi. Brak wzwodu wynikał bowiem u pacjenta z faktu, że do jego członka dochodziło za mało krwi.

Wypreparowanie odpowiedniej tętnicy oraz żyły grzbietowej trwa przeszło godzinę. Nie jest to może zabieg trudny, ale — żmudny. Docent Darewicz jest wyraźnie zadowolony, uśmiecha się i prosi dra Gałka, aby na chwilę zdjął z tętnicy zamykający ją klips. Robi się to tylko dla mnie, abym zrozumiał tajemnice ludzkiego organizmu. Widzę, jak z tętnicy tryska rytmicznie strużka jasnej krwi. — Gdyby krew tak nie sikała — słyszę — psu na budę byłaby nasza operacja, rozumie pan? — Uhu — mówię i klips znowu zaciska tętnicę.

O godzinie 10.45 kończy się zszywanie brzucha i nad pacjenta nadjeżdża duży mikroskop operacyjny, wyposażony, w dwa okulary dla dwóch chirurgów. Tętnica została przeprowadzona pod skórą do samej nasady członka, gdzie wykonano wcześniej cięcie, aby wypreparować żyłę. Na to właśnie cięcie nakierowany jest mikroskop i cały zabieg zespolenia tętnicy z żyłą odbywa się pod nim. Ale zanim lekarze przystąpią do drugiego, właściwego i najtrudniejszego etapu operacji, przebierają się w świeże fartuchy, myją ręce i wkładają świeże rękawice.

Patrzę na zegarek, ciekaw jestem bowiem, jak długo trwają poszczególne czynności.

10.55. Lekarze chwytają znowu za narzędzia. Zaczyna się drugi etap zabiegu.

11.15. Koniec żyły jest już zszyty, a w ściance wycięto maleńki otwór, do którego przyszyta będzie tętnica. Ten otwór jest tak mały, że widać go tylko pod mikroskopem. Widziałem...

11.20. Tętnica zostaje połączona z żyłą grzbietową prącia za pomocą szwów pojedynczych.

11.37 Doktor Gałek zdejmuje klips zamykający dotąd żyłę. Chwilę czekamy i także z tętnicy zostaje zdjęty klips. Tętnica wypełnia się krwią, pulsuje, ach jak pięknie pulsuje!

Docent Darewicz mówi po prostu: tętno jak sam diabeł.

I o to chodziło, aby tętno było właśnie takie.

Jeszcze chwilę czekamy, czy nie wystąpi krwawienie. Ale nie — szwy trzymają szczelnie.

11.50. Doc. Janusz Darewicz i dr Lech Gałek zszywają nasadę członka. O 12.10 odchodzą od stołu. Operacja trwała trzy godziny bez dziesięciu minut.

Po trzech dniach przychodzę do kliniki, aby porozmawiać z Dariuszem B., którego widziałem na stole operacyjnym. Pytam, jak się czuje, a przede wszystkim, czy c z u j e, że jest jakoś inaczej.

— Tak — mówi rozradowany — czuję się tak, jakbym się na nowo urodził.

— Ale czy c z u j e pan tylko tam, w tym jednym miejscu? — pytam oględnie.

— O nie — odpowiada. — Cały czuję się inaczej, zupełnie inaczej.

---

cji w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wiedziałem, że chodzi o wiceministra, który jest teściem córki dyrektora Ł. Odniosłam wówczas wrażenie, że dyrektor jest pewny siebie, że nic mu się złego nie stanie.

*

Lata osiemdziesiąte, a szczególnie pierwsza ich połowa, były szczególnie trudne. Wszystko trzeba było „załatwiać", a nie kupować.

— Wiedziałam, że w „Polmosie" nikt nie załatwiał niczego bez wódki i suwenirów — powiedziała podczas przesłuchania Alina Ł. — Taki obyczaj zastałam. Na przykład pani X. pełniła funkcję w Zakładzie Handlu Spółdzielni „Społem". U X. kupowałam dla naszych zakładów glazurę, wykładziny, pcv, dywany, firanki, zasłony, sztućce, talerze. Po telefonie X. udawałam się do magazynu WSS-u, żeby wybrać niezbędne towary. Przy tej okazji X. pokazywała mi różne towary, które mogłam nabyć prywatnie dla siebie. Dla siebie kupiłam mikser, małakser, telewizor czarno-biały, buty, kosmetyki, bieliznę pościelową, nakrycia stołowe, zastawę stołową, ręczniki kąpielowe, meble kuchenne i sukienki dla siebie i córki. Za załatwienie mi towarów dałam pani X. co najmniej 20 butelek alkoholu skradzionego z „Polmosu". Pani X. pomagała mi też w lepszym zaopatrzeniu kiosku zakładowego, do którego na moją prośbę kierowała różne atrakcyjne artykuły spożywcze. Tak więc ja, jako dyrektor handlowy, miałam dzięki niej ułatwioną pracę.

Na przełomie kwietnia i maja 1985 r. Alina Ł. była pacjentką Szpitala Kolejowego w Lublinie.

— Podczas mojego pobytu w szpitalu — stwierdziła w śledztwie Alina Ł. — zastępca dyrektora, Józef K., przyniósł mi 6 butelek alkoholu, a pan G. 4 butelki, które natychmiast zostały zabrane.

W kwietniu lub maju 1987 r. ten sam lekarz przyjechał do mnie do zakładu i poprosił, aby dać mu trochę wódki, której potrzebował na spóźnione swoje imieniny. Nie miałam więcej jak 3 butelki wobec czego dałam mu je, oczywiście za darmo. Jako gość dyrekcji, lekarz nie był kontrolowany na bramie.

— Wszystkie władze miasta i województwa, czy to prezydenci, czy wojewoda, przyjmowały alkohol z „Polmosu" z okazji i bez okazji — stwierdziła w śledztwie Alina Ł. — W lipcu 1985 r. zadzwonił do mnie jeden z wiceprezydentów Lublina i poprosił, abym mu przywiozła kilkanaście butelek alkoholu, ponieważ zbliża się Święto Odrodzenia. Wyznaczył dzień, kiedy mamy mu przywieźć alkohol do jego gabinetu w Urzędzie Miasta. Było tego sporo, co najmniej 15 butelek.

Ci z władz sami chcieli, by im dawać alkohol. Wyznaczali ilość, dzień i godziny, kiedy im ten alkohol należało dostarczyć, bądź też sami po niego przyjeżdżali. Nikt nie pytał o możliwości. Mówię to, by było jasne, że przy tak nagminnym zachowaniu się ludzi obok mnie nie widziałam tego jako przestępstwa. To się nie odbywało na zasadzie: „czy pani może?" Mówili: „trzeba świadczyć na rzecz reprezentacji".

Wojewoda Tadeusz W. otwierał drzwi pokoiku na zapleczu gabinetu i tam stawiałam na ławie przyniesiony w reklamówce spirytus. Na ławie lub stoliku obok drzwi widziałam wyroby różnych zakładów naszego województwa: kryształy, szkła, duże pluszowe zabawki, wydawnictwa książkowe, wyroby cepeliowskie oraz w reklamówkach „jakieś" towary. Domyślałam się, że podobnie jak ja, również przedstawiciele innych zakładów województwa „obdarowywali swojego wojewodę".

Podczas śledztwa przesłuchujący Alinę Ł. zapytał:

— Czy pani wie, jak prawo karne nazywa to, co pani w protokole określiła jako „wożenie wyrobów do wojewody"?

— Były to kradzieże alkoholu na szkodę „Polmosu". Wojewoda wiedział, że alkohol dla niego trzeba skraść z „Polmosu". On sam mnie w to wciągnął. Wręcz kazał mi to zrobić. Powiedział: „Niech się pani zgłosi do pani W. Ona wie, jak to zrobić, i ma możliwości". Zrozumiałam, że pani W. wie, jak można okraść zakłady poprzez „wykorzystywanie luzów technologicznych".

— Ile alkoholu skradzionego z zakładów „Polmos" zawiozła pani wojewodzie Tadeuszowi W.?

— Co najmniej 400 butelek. 70 proc. z tej ilości stanowił spirytus.

(cdn.)

18 STYCZNIA LUDZIE ZEBRALI SIE W SOBIE I Z HALI NAPRAW RUSZYLI DO GÓRY, DO GABINETU PREZESA

PEWNE PROBLEMY PŁACOWE W SPICZYNIE

Leszek Wiśniewski

1 STYCZNIA 1989 roku, kolejnego roku kryzysu, stała się rzecz dziwna: ludzie odmówili wzięcia pieniędzy. Nie chodziło bynajmniej o łapówkę, lecz o tak zwaną wypłatę, a dziwne to zdarzenie miało miejsce w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Spiczynie. Pracowników fizycznych tej firmy zawartość kopert najpierw rozśmieszyła, a potem rozeźliła tak dalece, że zgodnie odstąpili od kasy, głośno określając, gdzie mają takie pieniądze.

Nasuwają się tu skojarzenia z głośnym filmem Gelmana „Premia", gdzie radzieccy robotnicy odmawiają podjęcia nienależnych im pieniędzy. Nic z tych rzeczy: w Spiczynie chłopy uznały, że należy im się znacznie więcej i nikt nie będzie z nich dalej robił wała. Potem nastała cisza.

Ciszę przerwał prezes SKR Roman Machlarz, podejmując energiczne kroki na rzecz przyjęcia przez pracowników gotowizny. Nakazał mianowicie pobranie całości wypłat kierownikom czterech podległych mu punktów usługowych w terenie i wręczenie tych pieniędzy ludziom. Równocześnie przesłał informację do Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Lublinie, że pensje zostały wzięte, a sprawa się rozwiązała.

Nie pomogło: traktorzyści i mechanicy nadal tkwili w dziwnym uporze oraz z rękami w kieszeniach. Nie przekonała ich również obiecana podwyżka 10 złotych na godzinę, co przy 176 nominalnych roboczogodzinach w miesiącu dawało im dodatkowo „niebagatelną" przecież kwotę 1760 zł. Chytry dwa razy traci: albowiem 15 stycznia zamknięty został okres rozliczeń finansowych, a z nim możliwość dokonywania wyrównań, wnoszenia odwołań i roszczeń za zeszły rok. A roszczenia, jak się później okazało, były...

18 stycznia, w środę, ludzie zebrali się w sobie i z hali napraw ruszyli do góry, do gabinetu prezesa; tym razem nie chodziło o sianokosy. Szef w tej sytuacji uległ naturalnie prośbom załogi i rozmowy kontynuowano „na warsztacie". Ludzie zażądali przyjazdu kogoś z województwa, urządzenia zebrania i spełnienia paru warunków. Dalej dyskutowano w zespole negocjacyjnym, bez skutku zresztą. Załoga tymczasem realizowała decyzję o przestoju w pracy.

Nazajutrz przyjechał z Lublina wiceprezes WZRKiOR — Marian Gierasiński z dwójką swoich współpracowników. Na zebraniu załoga przedstawiła 11 postulatów. Obok kwestii finansowych znalazły się na tej liście żądania: zorganizowania odpowiedniego frontu pracy przez cały rok, podjęcia działalności produkcyjnej, wyjaśnienia okoliczności sprzedaży poza przetargiem wycofanego z eksploatacji sprzętu. Ukoronowaniem listy życzeń i zażaleń był wniosek o odwołanie prezesa SKR. „Załoga domaga się kategorycznie zmiany Prezesa z powodu braku ogłady i umiejętności prowadzenia zakładu. Z roku na rok SKR doprowadzony został do upadku". (Postulat 11).

Póki co, prezes pozostał. O jego odejściu może decydować Rada Nadzorcza, której uprawnienia są niemałe. Rada skorzystała z nich, na przykład sprzedając poza przetargiem rozstrząsacz do obornika... jednemu ze swoich członków. Również ona, i jedynie ona, może oceniać pociągnięcia ekonomiczne Zarządu SKR oraz decydować o kierunkach ekspansji firmy. Mamy wszak samorządność! I w zgodzie z nią można dzielić przecież tyle tylko, ile się wypracuje. Tymczasem spółdzielnia, mimo iż wypracowała w zeszłym roku około miliona zysku, potentatem nie jest i nie stać jej na ekstrawagancje. Ten milion świadczy z kolei o tym, że nie ma mowy o upadku, który zarzuca się prezesowi Machlarzowi.

W bulwersującej załogę kwestii wyrównania za spóźnione włączenie do pensji zasadniczej tzw. dodatku osłonowego w wysokości 6000 złotych również udzielono pracownikom wyczerpujących wyjaśnień. Okazało się otóż, że dodatek ów można było włączać do płacy zasadniczej od marca do końca grudnia. W Spiczynie zrobiono to 19 grudnia, więc wszystko jest O.K. Tyle tylko, że premie naliczano w tym czasie od kwoty mniejszej o 6 tysięcy. Firma zaoszczędziła, sztuka nie ucierpiała! Może troszkę „poszkodowali się" traktorzyści, ale przecież nikt nie kazał im dopominać się o swoje dopiero w styczniu. Mogli popróbować wcześniej — we żniwa, na przykład, tylko że wtedy mieli, widać, na głowie robotę, a nie postulaty.

Ogólnie rzecz biorąc, argumentacja kierownictwa trafiła ludziom do przekonania. Odstąpili od wyrównań. Natomiast nikt nie był w stanie im wytłumaczyć, dlaczego po podwyżkach, zmianie taryfikatora i przeszeregowaniach, ich grudniowe pobory niewiele odbiegają od tych z listopada. Nikt też nie mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak przeżyć z inflacją i trzydziestotysięczną pensją? Od żądania podwyżki do 180 zł za godzinę nie odstąpili. Pensje jednak zdecydowali się odebrać. Na tym stanęło.

O KONFLIKCIE w „jakiejś podlubelskiej spółdzielni" dowiedziałem się zupełnie przypadkowo od jednego ze znajomych rolników. Nie znałem miejsca ani szczegółów. Wiceprezes Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych — Marian Gierasiński był moim telefonem wyraźnie zdegustowany. „Wie pan — odradzał mi — ja bym tego nie nazywał strajkiem, raczej określiłbym to jako pewne problemy płacowe, które w dużej mierze zostały już zaspokojone. Byliśmy, badaliśmy sprawę na miejscu, nie nadawałbym temu tematowi rozgłosu. W obecnej sytuacji w kraju, kiedy mówimy o porozumieniu i tego typu konflikty raczej wygaszamy, to chyba nie byłoby celowe — nagłaśnianie sprawy". Moja niewczesna ciekawość została jednak ostatecznie zaspokojona. „Powiem, dlaczego nie? Chodzi o Spiczyn — wykrztusił prezes — to chyba przecież żadna tajemnica". Też tak uważałem i umówiliśmy się na rozmowę za parę dni.

W Spiczynie zastałem niepokój przedwczesnego przednówka. Może sprawiła to aura, która odśnieżyła pola, pozbawione widoku ścigających się kombajnów? Między ich unieruchomionymi, stalowymi cielskami rozmawiałem z nader ożywionymi ludźmi.

— Strajkujecie panowie?

— Widzisz pan, my tu siedzimy, bo nie ma nic do roboty. A jak robimy na warsztacie, nie zarobi się tyle co na traktorze. Traktor nie jeździ, bo od pół roku nie ma pierścieni. Już powinniśmy przygotowywać sprzęt na wiosnę, tylko czym mamy łatać te graty? I to jest nasza wina, że nie możemy zarobić?!

— Nie mogłem zmienić reflektorów, nie było na warsztacie. Idę do prezesa i mówię, co i jak. A on mi na to: idź sobie kup albo się połóż...

— Ja chciałem wziąć urlop, dziecko mi chorowało. A prezes kazał mi się zwalniać.

Przewodniczący organizacji związkowej — Bronisław Szkutnik niezbyt chętnie mówi o wydarzeniach ostatnich dni. Właściwie sam nie ma pewności, czy doszło do strajku. Po prostu upomnieli się o swoje.

— Te podwyżki, co nam je prezes przyznał, nas nie zadowalają. Administracja dostała po sześć tysięcy podwyżki. Nam wyszło po kilkaset złotych. Chcieliśmy uruchomić jakąś produkcję, bo na samych przewozach i

SPOTKANIE W PUŁAWACH

Dokończenie ze str. 1

jutrz sekretarz osobiście zjawił się u Rybaka, znaczy opamiętał się, no i przewodniczącym GRN został najlepszy z trzech różnych kandydatów, wybrany w tajnym głosowaniu. Nieważne z jaką legitymacją. Najlepszy.

Rybak podkreśla z mocą, że dla niego i dla ludzi ważna jest praca. W stronnictwie też. Tylko praca może dać zaufanie u ludzi. Przecież wszelkie działanie ma sens tylko wtedy, gdy służy, jest ludziom potrzebne. Dziś już nikt nikomu niczego siłą nie narzuci. Czasy siły szybko mijają, nastają czasy siły argumentu, konkretu, roboty. Dlatego musi wszędzie, również w polityce, nastać wolna konkurencja, prawdziwe współzawodnictwo. Dlatego on, Rybak wyraża wątpliwość czy konstytucyjny zapis gwarantujący specjalne prawa jednej tylko partii, nie jest anachroniczny, czy nie stawia jej ponad narodem. Przecież konstytucja służy i jest własnością całego narodu, a nie jakiejkolwiek jego części.

Proste jak świński ogon

Stanisław Górecki z Kazimierza ucieszył się, że przedmówcy z ust mu wyjęli tezy i argumenty polityczne, dlatego skupi się na ekonomice, tym elemencie, który nigdy w dziejach PRL nie był należycie uwzględniany, lecz sztukowany, podpierany, a nawet wręcz zastępowany przez ideologię albo politykę. Chłop i robotnik, ale przede wszystkim chłop, całe pokolenia ludu polskiego ciężko za to płaciły i płacą. Chłopskiej pracy i produkcji nadal nie docenia się. Nowy premier twierdzi, że wspiera rolnictwo, zrobił z niego nawet priorytet. Górecki obawia się, że to kolejna z licznych obiecanek, jakie władza składała chłopom przy kolejnym „zakręcie", od 1956 roku poczynając. Nie słowa i deklaracje są ważne, lecz fakty i pieniądze. A jeśli tak, to po co nam dotacje? Niech każdy będzie na uczciwym rozrachunku. Niech każdy zabierze się do roboty i zostawi wreszcie to próżne bajanie, te wszystkie fikcje, PRON-y i inne propagandy, które nic nie dają oprócz szumu i pozorów. Czy o pozory ma nam chodzić, czy o konkretne efekty, chleb i produkcję?

Z kolei Elżbieta Wójtowicz z Markuszowa, pozostając w nurcie ekonomicznym, zeszła całkiem na wiejską ziemię. Zapytała, z jakiej kalkulacji wynika wzrost cen ciągników w br. o 60 proc., części zamiennych o 600—700 proc., a środków do produkcji, zwłaszcza herbicydów, znów o 100—150 procent, identycznie jak w 1988 roku. Dodajmy do tego 30-procentowy wzrost cen ropy i 70-procentowy benzyny, a wszystko okaże się proste jak świński ogon, gdyż nasza chłopska produkcja będzie skupowana po cenach zaledwie od 10 do 20 proc. wyższych — i to z półrocznym poślizgiem.

Tymczasem wolnorynkowe ceny węgla już dziś uczyniły problematyczną opłacalność hodowli trzody. Był run na prosięta, był, ale się zbył. Kto wytrzyma taką huśtawkę i taką „politykę"? Stary chłop zostanie, bo musi, ale młodzi uciekają ze wsi. Wciąż uciekają. Obietnice Rakowskiego nikogo na wsi nie przytrzymają, obietnic ludzie mają wyżej uszu. Młodym potrzebne są nie słowa i uśmiechy, lecz wysokie, dogodne kredyty, pieniądze i dostęp do maszyn oraz środków produkcji. Zaś naszemu ZSL, powiedziała E. Wójtowicz, konieczna jest wyraźna, własna koncepcja rolnictwa, jasna jego wizja. Tego zdecydowanie brak naszej partii chłopskiej. Bez tej własnej wizji ZSL nigdy nie stanie się autentyczną, w pełni chłopską partią.

Brak nam Witosa

Kazimierz Chruścicki z Abramowa, były górnik dołowy, od paru dziesiątków lat chłop, twierdzi, że takim jak on dużo mówić nie trzeba. I robotnikowi, i chłopu propaganda zbędna, potrzebne są warunki. Jedni i drudzy pracy nie żałują. Rzecz w tym, aby nie była marnotrawiona, by dawała owoce. A tymczasem jak było i jak ciągle jest? Za Bieruta — gadanie. Za Gomułki — gadanie. Za Gierka — gadanie. Dziś — gada każdy jak najęty. A więc — pustosłowie. Słyszałem tu w referacie WK, że trzeba oddać chłopskie sprawy w chłopskie ręce. Pięknie. Ale są to tylko słowa. Chłopa nadal gniecie potężny urząd, góra głupich przepisów, potworne braki na rynku, inflacja, kiepska ekonomika. Dlatego musi nastąpić to, co napisał prof. J. Szczepański: „Chłop musi pilnować swoich interesów sam. [...]. Im wcześniej chłopi zrozumieją, że mogą liczyć tylko na siebie, tym lepiej dla nich i społeczeństwa".

A tymczasem nawet ZSL nie bardzo chłopa broni. Bo w naszej „chłopskiej partii" we władzach są nie chłopi, lecz zawodowi działacze, aparatczycy, identycznie jak w PZPR. Dlatego obie partie są niewiarygodne. Przecież nie kto inny, lecz Sejm i marszałek tegoż Sejmu, a więc parlament mianowany przez partie koalicyjne, sam robi zamęt w prawie. Sypią się dziesiątki, setki uchwał, ustaw. Takich, co je trzeba za miesiąc, pół roku odwoływać, zmieniać, poprawiać. Ci sami posłowie głosują raz za tym, a za miesiąc za czymś całkiem odwrotnym. Czy to jest prawo? Czy można mieć do niego zaufanie? No a bez prawdziwego prawa nie udało się funkcjonować żadnemu społeczeństwu.

Kazimierz Bis, docent z puławskiego IUNG-u, ekonomista-rolnik, przyznał rację przedmówcom, że nie była i nie jest doceniana ekonomika — nie tylko zresztą w rolnictwie, w całej naszej gospodarce. Wiąże się to jakoś z tożsamością i wiarygodnością partii. Kto lekceważy realia i matematykę, tego nie szanują ani ludzie, ani historia. Jeżeli o ZSL chodzi, to pomnik Witosa i jego portrety w gabinetach wojewódzkich oraz MK, niestety, samego Witosa nie zastąpią. Brak go nam. Brak nam autentycznych działaczy, ludzi z wyrazistą osobowością, wręcz z charyzmą. Indywidualności wciąż nie mają szans, wciąż górą jest konserwa, stare przyzwyczajenia, wygodnictwo, gra na przetrwanie. A czas ucieka coraz szybciej. I dlatego właśnie z powodu przyczajonego, a w istocie nieugiętego konserwatyzmu ZSL ma mało, o wiele za mało inicjatywy. Dlatego chłop, zwłaszcza młody, odwraca się od ludowej partii.

Lucjan Ziarek z Czołny w gminie Baranów zdecydowanie poparł docenta Bisa, podzielając jego troskę o przyszłość stronnictwa. Sięgnął do korzeni. Przypomniał, co sam przeżył od pierwszych dni władzy robotniczo-chłopskiej, która przez pierwsze dziesięć lat niszczyła chłopa i „kułaka" metodycznie, otwarcie, wręcz programowo i z niebywałą zawziętością, a po roku 1956 także, tyle że pod rozmaitymi parawanami. I nie pamiętam, rzekł Ziarek, jak Boga kocham nie pamiętam, by wtedy albo potem ktokolwiek stanął w naszej obronie. Nie przypominam sobie, aby wówczas lub nawet dziś ZSL był tak naprawdę i całą duszą za chłopem. Ba, żeby miał swój własny, rolniczy program. Zamiast tego były uchwały i wspólne plena, które zostały na papierze.

usługach nie zarobimy nawet na słoną wodę. Prezes obiecywał, zapewniał, ale nic z tego nie wychodzi. Zatrudnił kierownika produkcji, który pracuje już pół roku i jeszcze niczego nie załatwił. Po co nam taki kierownik?

— Chcielibyśmy wiedzieć — dodaje Tadeusz Grzyb — co robią prezesi w godzinach pracy? Ciągle gdzieś jeżdżą i coś w tym czasie mogliby nam załatwić. A tu tak: tego nie ma, tamtego brakuje. Robota stoi. Ale może myśmy tego prezesa za mocno przycisnęli? Może to trochę za dużo było powiedziane, żeby go zwalniać?

Prezes SKR — Roman Machlarz powrócił właśnie z Lublina. Przywiózł wytyczne i konkretne propozycje do rozmów z załogą. Wolałby jednak, abym nie uczestniczył w zebraniu („Wie pan, to mogłoby speszyć ludzi"). Niemniej chętnie udziela wszelkich informacji.

— Siedzę tu szósty rok. Przyszedłem, gdy wszystko się waliło, i w krótkim czasie wydobyliśmy się „ponad kreskę", unowocześniliśmy park maszynowy, pobudowało się bazę. Ja bynajmniej w tym temacie nie mam uprzedzeń. Rozumiem nawet tych ludzi i ich problemy. Wiem, że mało zarabiają i muszą się natyrać na te parę groszy. Wiem jednak i to, że nam nikt tych pieniędzy nie przywiezie w teczce. Co się mogło, to się zrobiło. Próbowaliśmy się dogadać z Bogdanką w temacie usług, niestety oni „padli" i nic z tego nie wyszło. Rozmawialiśmy z maszynami rolniczymi. To znaczy z „Agrometem" — w sprawie produkcji detali do RFN. Wzięliśmy nawet rysunki techniczne, ale mamy określone problemy jakościowe. Na warsztacie jest jedna wysłużona tokarka, a niektórzy ludzie nie potrafią nawet mierzyć suwmiarką. Więc jak mam im zabezpieczyć tę dodatkową produkcję?

Fot. Waldemar Stępień

— Oni twierdzą, że nie potrafi pan znaleźć z nimi wspólnego języka, że traktuje ich pan jak ekonom...

— Widzi pan, to jest bardzo trudny element. Taki traktorzysta niby robi na zlecenie, a potem zjedzie z pola i odwala prywatną fuchę. Kto go przypilnuje? Ale ja to rozumiem, trzeba jakoś żyć...

— Prezesie — włącza się sekretarka — dzwoni pani z Jawidza i pyta co z tymi kurczakami?

Pion księgowości w liczbie trzech kobiet w sile wieku solidaryzuje się z fizycznymi. Główna księgowa — Ewa Romańczuk — prezentuje poglądy zgoła nietypowe dla jej profesji. Uważa, że prezes zabałaganił sprawę, odkładając problem „osłony" na ostatnią chwilę. Pani Ewa nie zgadzała się również z nowymi propozycjami płacowymi szefa. Oglądamy wspólnie listę płac. Zwyżka w stosunku do listopada: 446, 536, 624 złote...

— To są podwyżki!? To jest śmieszne. W czasach, gdy pół litra kosztuje dwa tysiące? A jakie oni teraz mają możliwości wypracowania swoich stawek motywacyjnych? Nie ma żadnych prac polowych, nie ma przewozów...

Tymczasem dobiega końca zebranie kierownictwa spółdzielni z przedstawicielami załogi. Następne negocjacje mają się odbyć w lutym. Prezes Machlarz ma nadzieję na kompromis. Związkowcy nie mają nadziei.

— Nie zejdziemy z tych 180 złotych. Jak prezes nie zbuduje nam przyszłości, będzie musiał odejść. Nie chcemy być dalej oszukiwani.

W WOJEWÓDZKIM Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych też występuje daleko idące zrozumienie dla traktorzystów ze Spiczyna. Tylko — z czego dać? WZRKiOR nie jest już w pełni jednostką nadrzędną wobec SKR-ów. Nie jest też do końca zarządem związku zawodowego. Ta dwoistość przejawia się w każdej kwestii omawianej przez pracowników związku. Coś tak, jakby głową byli z prezesami, a sercem z załogami.

Prezes Gierasiński, kiedy ostatnio z nim rozmawiałem przez jego sekretarkę „nie czuł się związany z tą sprawą" i nie podzielał rozterek swoich pracowników. Małe sprawy są bowiem dla małych ludzi...

Młody kolega Wilkołazki z Wąwolnicy zaczął z impetem, że bez wiarygodności nie ma partii, a budowanie wiarygodności zacząć trzeba w pierwszej kolejności od góry, od samego prezesa stronnictwa. W kampanii przedkongresowej wybraliśmy na delegatów samych najlepszych, godnych pełnego zaufania. W tym sensie można powiedzieć, że pośrednio braliśmy udział w wyborze prezydium NK. I co? Mamy do prezydium zaufanie, utożsamiamy się z nim, jego decyzjami? Choć to nasi, demokratycznie wybrani przedstawiciele! Koledzy, doły ZSL-owskie mówią: co oni tam, na Boga robią? Przecież nie widzą, żeby „oni" tam coś ważnego czynili, gdy kraj i gdy chłop jest w ciężkich opałach. Znaczy — robili coś konkretnego. Może wynika to z niezrozumienia, może z niedoinformowania. Może. I oby tak było. Osobiście wątpię, bo za często słyszę od kolegów pytanie: co to za polityk jest, co za działacz, któremu był stalinizm wygodny, Bierut, Gomułka, Gierek? I co, on ma teraz reformę robić?

Zwracając się do prezydium zebrania Wilkołazki mówił z goryczą: — Okłamywała mnie szkoła. Od dziecka. Potem kłamali na zebraniach. Kłamali, koledzy. Dlatego aż gęsto od białych plam. I dlatego ZSL stracił wiarygodność w swojej bazie. To jest cena, jaką płacimy za „sojusz". Za brak tożsamości. Sojusz może być, ale z własnym obliczem, ze swoim chłopskim programem. Dopiero gdy się tego własnego oblicza dopracujemy, odzyskamy autorytet u chłopów. Innej drogi nie ma.

Prezes powiedział

Ponieważ mijała spóźniona pora obiadowa, przewodniczący spotkania, prezes WK w Lublinie Tadeusz Bichta, zakończył dyskusję, prosząc prezesa NK ZSL o „zabranie głosu na zakończenie".

Prezes Roman Malinowski zaczął od stwierdzenia, że obecne reformy w Polsce są równoznaczne z przechodzeniem jednej jakości w zupełnie inną jakość. Wszystkie poprzednie próby reformatorskie nie powiodły się z powodu ich fragmentaryczności. Dziś są one kompleksowe: obejmują sferę polityki, gospodarki, stosunków społecznych i struktur państwowych. Zmienią wszystkie dziedziny życia i oblicze kraju.

Ale oczywiście problemy będą nadal występowały. Z tym, że reformy stwarzają szanse ich rozwiązywania.

Obecne reformy w istocie swej są powrotem do demokratycznych struktur pierwszych lat po wyzwoleniu, lat 1944—48. Powrót ten oznacza, że potrzeba będzie przezwyciężyć pozostałości stalinizmu. W tym względzie rok bieżący, rok 1989, będzie przełomowy. Nastąpi spotkanie okrągłego stołu (rozmowy trwają, zbliżają strony do consensusu, porozumienia), a nowa ordynacja wyborcza do Sejmu i wybory zwieńczą dzieło demokratyzacji. W zamyśle jest druga izba parlamentu, instytucja prezydenta, pluralizm związkowy. Wchodzi niebawem w życie ustawa o stowarzyszeniach. Tak więc polska różnorodność uzyska ramy prawne. Znajdzie odzwierciedlenie w sejmie, rządzie, we władzach. Będzie, już jest tworzona wielka koalicja proreformatorska.

Jeżeli zaś chodzi o ZSL, o nasze stronnictwo, to jest ono dziś inne niż wczoraj, a jutro będzie jeszcze inne. Identycznie ewolucji podlegają zasady koalicyjności. Dziś już nie jesteśmy, jak ongiś, satelitą, lecz pełnoprawnym partnerem. Dziś mówimy własnym głosem.

Nie wszystkich, być może, to w pełni satysfakcjonuje. Można zrozumieć, że koledzy chcieliby przyspieszenia tempa przemian. Ale zmiany, procesy reformistyczne mają swoją własną logikę. Nie tak jeszcze dawno trzeba było wielkiego naszego wysiłku i wręcz walki o konstytucyjny zapis trwałości chłopskiego gospodarstwa rolnego. Stronnictwo ten zapis wywalczyło, myśmy uzyskali tę zdobycz. Było to wielkie, doniosłe wydarzenie. Tak je wówczas odbieraliśmy. Dziś spowszedniało. Dziś chcemy więcej. I to jest normalne. Dziś ważną ustawę o działalności gospodarczej przyjmujemy już jako coś normalnego, spokojnie. Równie spokojnie wróciliśmy do nazwisk i pomników dawniej zakazanych. Naprawdę poszliśmy i doszliśmy już daleko. Ale czy osiągnęliśmy cel? Nie. Do celu też jeszcze daleko.

Z reformami, zwłaszcza gospodarczymi, jesteśmy tak: opuściliśmy już jeden brzeg, ale jeszcze nie dobiliśmy do drugiego brzegu — jesteśmy na środku wartkiego nurtu. Ale nowy rząd jest zdecydowany stanowczo sterować do tego drugiego brzegu. Na przeszkodzie stoi głęboki deficyt budżetowy, trudności z wprowadzeniem do powszechnego stosowania mechanizmów rynkowych, inflacja, występujące jeszcze tendencje egalitarystyczne itd.

Jesteśmy zdecydowani — i rząd wyraża podobny pogląd — zachować i utrzymać opłacalność produkcji rolnej. Opłacalność ta musi być stale zagwarantowana i utrzymywana. Rolnik musi mieć środki na inwestowanie i modernizację oraz godziwe życie.

Zarazem zamierzamy porządkować stronę prawną. Istnieją projekty ustaw: o zaopatrzeniu emerytalnym ludności wiejskiej, o scalaniu gruntów, o pomocy społecznej. Wchodzi w życie demonopolizacja skupu, znoszona jest reglamentacja.

Nawiązując do głosu kolegi Wilkołazkiego, chciałem poinformować, powiedział prezes Malinowski, że powołaliśmy przy NK ZSL komisję do wypełniania białych plam w naszej powojennej historii, ze szczególnym uwzględnieniem ruchu oporu, wsi, rolnictwa, przymusowej kolektywizacji, obowiązkowych dostaw itp. Prezydium NK występuje do rządu PRL o przywrócenie obywatelstwa polskiego Mikołajczykowi i Bończakowi.

Stronnictwo jako pierwsze opracowało i posiada swój projekt ordynacji wyborczej do Sejmu. Aktualnie pracujemy nad projektem nowej konstytucji.

Zdaniem prezesa NK, sojusz z PZPR jest słuszną linią polityczną. Posiada przed sobą przyszłość, jest dalekowzroczny. W przyszłości, i to jak najbliższej, przybywać będzie coraz więcej zorganizowanych, legalnych sił politycznych. Nieuchronnie będą zawierane sojusze, kompromisy — na nowych, partnerskich w pełni zasadach. Polsce potrzebna jest złączona sojuszem duża siła polityczna — stabilizująca kraj i zdolna przewodzić siłom reformatorskim, zdolna sprostać oczekiwanym przez społeczeństwo przemianom. ZSL mieści się w tej formule. Stronnictwo nie może sobie pozwolić na pozostanie z boku.

Prawdą natomiast jest, że ZSL, jego struktury wymagają przeobrażeń. Generalnie stawiać bardziej musimy na inwencję, na ludzi. Centralną figurą w naszym ruchu, najwyższą wartością winien być szeregowy członek, działacz, a pracownik etatowy aparatu to ktoś zdecydowanie służebny wobec bazy partyjnej i wobec chłopów. Tak być powinno. Istniejemy poprzez członkowskie rzesze i dla tych rzesz. Przede wszystkim dla nich.

Na zakończenie prezes NK ZSL powiedział:

— Idea koalicyjności i współdziałania zgodna jest z tendencjami rozwojowymi całego świata. Świat stał się tak mały, że konfrontacja po prostu byłaby ewidentnym zagrożeniem — dla wszystkich. Dlatego dziś nie wystarcza już współistnienie, potrzebna jest współpraca. Taki jest duch naszych czasów. Nasza partia, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe zechce, musi sprostać wymogom współczesności.

Spotkanie prezesa NK ZSL Romana Malinowskiego z działaczami ludowymi rejonu puławskiego odbyło się 10 stycznia br. w siedzibie IUNG w Puławach.

Stanisław Harasimiuk

„WYKREŚLAMY SŁOWOLEJÓW, GDACZĄCY LIRYZM ONANISTÓW, GADATLIWOŚĆ ROMANTYKÓW NA MIĘKKO...”

ŻYWOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (2)

Józef Zięba

PIERWSZY numer „Barykad” miał charakter literacki. Publikował utwory poetyckie Czechowicza, Łobodowskiego, Czuchnowskiego, Piechala, Timofiejewa i Bielskiego oraz przekłady z Rimbauda i Jesienina. Publicystyka również obracała się wokół spraw literatury i kultury. Dobór tematów, jak i ton poszczególnych wypowiedzi, których autorem był w większości, występujący pod różnymi pseudonimami, a także pod własnym nazwiskiem, Józef Łobodowski, nie skłaniały cenzury i prokuratora do konfiskaty nowego periodyku

Pismo zostało zauważone w kraju, a dla miejscowego środowiska literackiego i powołanego przed kilku miesiącami Lubelskiego Związku Literatów stwarzało szanse ukształtowania własnej trybuny. Wydaje się, że i Łobodowski wiązał z miesięcznikiem jako jego redaktor duże nadzieje. 20 listopada zrezygnował ze stanowiska redaktora naczelnego „Kuriera Lubelskiego”. Pospiesznie przygotowywał drugi numer „Barykad”. Jego treść miała być już bardziej radykalna i prowokująca. Atak został skierowany na warszawskie środowisko literackie, na szkołę średnią i jej system wychowawczy, na konserwatywną inteligencję, a przede wszystkim na religię i Kościół katolicki.

Adam Broniewicz (zapewne pseudonim Łobodowskiego) ogłosił artykuł pt. „wykańczamy warszawę” (w obydwu numerach „Barykad”, zapewne pod wpływem poetyki Czechowicza, nie używano dużych liter i interpunkcji nawet w publicystyce; cytuję zgodnie z oryginałem), który kończył się hasłem:

„wołamy o stworzenie wspólnego frontu młodej literatury reprezentującej żywe wartości poetyckie i zdecydowanie radykalnego społecznie frontu wymierzonego przede wszystkim przeciw warszawie za którą stoi wszystko co można zaliczyć do bezpłciowego inteligenctwa i mieszczaństwa polskiego

walcząc na swoich odcinkach o przerąbanie drogi nadchodzącej kulturze ludzkości zaczynamy od najbliższych przeciwników dzisiaj wykańczamy warszawę”

Wykańczanie literackiej Warszawy nie interesowało cenzora, podobnie jak i artykuł Szymona Marienholza pt. „treść czy forma”, w którym autor dowodził, że rewolucja społeczna winna być połączona z rewolucją kulturalną.

Nie wzbudził też zastrzeżeń artykuł Stefana Strachockiego „rewolucja na papierze”, omawiający rolę inteligencji w rewolucjonizowaniu mas społecznych, a kończący się stwierdzeniem: „jeśli inteligencja chce być elitą społeczną może nią zostać ale pod tym jednym warunkiem że swego wyjątkowego z tej racji stanowiska użyje dla społecznego i kulturalnego rewolucjonizowania mas”.

Starosta grodzki nałożył areszt na drugi numer „Barykad” z powodu zamieszczenia trzech artykułów: „palarnie opium”, „jeszcze jedne koszary” i „noty”, zawierające cechy przestępstwa z art. 152, 172 i 173 kk.

Pierwszy tekst podpisał niejaki Marian Plizga (zapewne pseudonim Łobodowskiego), drugi sam Łobodowski, a „noty” w ogóle nie były sygnowane.

Na posiedzeniu niejawnym 15 XII 1932 roku Sąd Okręgowy decyzję starosty zatwierdził, wyłączając jedynie artykuł pt. „jeszcze jedne koszary”, krytykujący program nauczania i wychowania w szkołach średnich. Darowano Łobodowskiemu stwierdzenie, iż „program szkolny nastawiony jest w kierunku reakcyjnym zaciera wszelkie ślady w historii i życiu prowadzące ku wnioskom mogącym zagrażać dzisiejszemu ustrojowi słowem jest narzędziem w walce klasowej z lewicą społeczną narzędziem nie gorszym niż chrześcijańska rodzina kościół i koszary”.

PROKURATOR wszczął postępowanie wobec Łobodowskiego jako redaktora odpowiedzialnego za to, że dopuścił do opublikowania i zamierzał upowszechnić artykuł Mariana Plizgi i „noty”. Przesłuchany w tej sprawie, Józef Łobodowski do winy lżenia religii rzymskokatolickiej nie przyznał się. Głównym winowajcą był więc Marian Plizga, który rozpoczął swój artykuł od prowokującego stwierdzenia:

„lenin który był nie tylko postacią historyczną na najwyższą miarę i genialnym teoretykiem ale również jednym z największych demagogów rzucił w czasie rewolucji hasło

religia to opium dla ludu”

W dalszej części artykułu Plizga wskazywał na szkodliwość oddziaływania Kościoła i religii jako „opium” na masy społeczne. W konkluzji stwierdził, iż „religią najbardziej z punktu widzenia interesów klasowych szkodliwą jest bezsprzecznie chrześcijaństwo oraz jego następstwo w postaci rzymskiego katolicyzmu i dlatego główna walka musi się rozegrać właśnie na tym odcinku”.

Wobec braku jakichkolwiek informacji o autorze przestępczego artykułu rozesłano za nim listy gończe.

Jeszcze bardziej prowokująco brzmiała nota zamieszczona na 51 stronie pisma. Oto jej pełny tekst:

„w poznaniu odbyły się podniosłe uroczystości w związku z poświęceniem pomnika chrystusa króla odbywały się przy udziale kardynała hlonda wielkiej ilości duchowieństwa i wiernych — polska posiada obecnie trzy europejskie rekordy — płodzenia dzieci przeciętna ilość wyroków śmierci i trzeci najsmutniejszy olbrzymi procent ogólnego narodowego dochodu wydawany na cele religijne — ale czas skończyć z tą zabawą — religia jest oczywistym aparatem duchowego niewolnictwa a kler stał się jeszcze jednym narzędziem więcej do opanowania mas — szkoła koszary więzienie urząd śledczy oto są instytucje gdzie przygotowuje się karny i posłuszny materiał ludzki na robotników na patriotów i mięso armatnie — kościół jest tą nadziemską kopułą uzupełniającą gmach naszej cywilizacji daje niejako boską sankcję poczynaniom szpiclów cenzorów i innych szefów bezpieczeństwa

podobno w czasie uroczystości pomnańskich hlonda salutowano 21 strzałami armatnimi — naszym zdaniem wystarczyłby jeden strzał ale celny”

ŁOBODOWSKI, jako redaktor naczelny i odpowiedzialny, zapewne musiał się liczyć z tym, że za tak prowokujące sformułowania może grozić pismu konfiskata. Obecnie trudno stwierdzić, czy kierował się tylko młodzieńczą niefrasobliwością, niechęcią do jakichkolwiek kompromisów, czy dążył do uzyskania kosztem konfiskaty jeszcze większego rozgłosu. W każdym razie cały nakład drugiego numeru „Barykad” nie dotarł do odbiorców, a jego redaktorowi groziła rozprawa sądowa.

Sąd na razie nie rozpoczynał przewodu, gdyż oczekiwał na wynik poszukiwania głównego „przestępcy”, którym był enigmatyczny Marian Plizga. Łobodowski miał zapewne świetną zabawę, kiedy czytał listy gończe... za swoim pseudonimem, zobowiązujące wszystkie władze wojskowe i cywilne, by zatrzymały i dostarczyły poszukiwanego do najbliższego więzienia.

Nie troszcząc się zbytnio o wynik oczekującego go procesu, przygotowywał następny numer „Barykad”. Tym razem miał to być dwutygodniowy dodatek do skonfiskowanego miesięcznika. By łatwiej wymknąć się cenzurze, nadał mu formę gazetową, co uzasadniał następująco:

„Gazetowy format, brak okładki i wkładek eliminuje pracę introligatorską, co umożliwi dostawę pisma do czytelników bezpośrednio po zejściu z maszyny. Z góry się cieszę, widząc rozczarowanie starostwa po spóźnionej konfiskacie. Już dlatego choćby warto było pomyśleć o wydaniu pisma. Więc wydaliśmy. Żeby tępe satrapy wiedziały, że gwiżdżemy na ich wszechwładzę, zresztą i tak już niedługotrwałą”.

Założyciele Lubelskiego Związku Literatów (od lewej): Wacław Gralewski, Józef Łobodowski, Anicela Fleszarowa, Witold Kasperski, Kazimierz Andrzej Jaworski, Józef Czechowicz, Franciszka Arnsztajnowa. Lublin 1932.

Zdjęcie ze zbiorów Muzeum J. Czechowicza.

Reprodukował Waldemar Stępień

Cztery strony tego „dwutygodniowego dodatku” zostały zapełnione chyba wyłącznie przez Łobodowskiego, który starym zwyczajem posłużył się kilkoma pseudonimami. Numer otwierał „artykuł wstępny” Józefa Łobodowskiego i Stefana Strachockiego pt. „Wykładamy nóżki na stół”. W artykule tym próbował Łobodowski sformułować własny program literacki i społeczny. Pisał:

„Pragniemy zastrzyknąć literaturze:

1) zdolność socjologicznego ujmowania zjawisk (psychologia ani filozofia nic na tym nie ucierpią);

2) relatywizm praktyczny, który poza człowiekiem i jego życiem nie zna żadnego celu;

3) dynamizm problemów i tendencji, uartystycznionych (ale nie zniekształcających) przez konstrukcję i kompozycję poetycką. Przerost estetyki musi być usunięty;

4) zdolność kolektywnego ujmowania zjawisk, przedmiotowość zamiast podmiotowości;

5) rzetelność i odpowiedzialność twórczą, eliminujące wszelkie dezorganizujące uczucia (wykreślamy natomiast słowolejów, gdaczący liryzm onanistów, gadatliwość romantyków na miękko)”.

Widać z tych sformułowań, jak „program” był mglisty i sporządzony pospiesznie. Zawierał hasła zapewne zaczerpnięte z różnych artykułów publicystyki literackiej.

Może nieco bardziej samodzielna jest „deklaracja” społeczno-polityczna sformułowana w tym artykule:

„Nie przysięgaliśmy uroczyście zespołowi Marks — Lenin — Stalin, ale mocniej od wszelkich przysiąg związani jesteśmy z proletariatem rosyjskim wspólnym celem i walką heroiczną o jego realizację. Spostrzegamy, że Rosja walczy o nowe i jedyne pojęcie człowieka pracy. O ekonomiczne jego wyzwolenie. O odkłamanie odwiecznych przesądów. To nam wystarcza, aby stwierdzić, że 25 października stanie się kiedyś dniem imieninowym ludzkości. Przyspieszając wedle swych środków i możliwości nadejście tej chwili, posiadamy dość krytycyzmu, aby dostrzec ujemne objawy w rosyjskim laboratorium nowego życia. Wymieńmy najważniejsze:

1) szablon w stosowaniu teorii marksizmu, co prowadzi do ciasnego i fanatycznego dogmatyzmu;

2) przesuwanie się punktu ciężkości z dziedziny społecznej do gospodarczej, co należy uznać za podniesienie środka do godności celu;

3) symplicystyczny stosunek do starej kultury indywidualistycznej, pewne wartości której są jednak nieśmiertelne”...

Na stronie drugiej periodyku zamieścił Łobodowski artykuł poszukiwanego listem gończym Mariana Plizgi pt. „Eksplozja rzeczywistości” i dwa swoje wiersze: „Raz ostatni” i „Wiersz tragiczny”. Na stronie trzeciej znalazły się trzy artykuły: Adama Broniewicza „O »bezstronnej« literaturze”, Stefana Strachockiego „Czarujący inteligent. Na marginesie »Biblii cygańskiej«” i podpisany własnym nazwiskiem przez Łobodowskiego „Bezdomni w Lublinie. Droga do życia”. Ostatnią stronę pisma wypełniły dwa artykuły sygnowane również przez Łobodowskiego: „Szczepionka przeciw proletariatowi” i „Rachunek sumienia”. Z tego artykułu warto przytoczyć fragment autocharakterystyki redaktora „Barykad”:

„A teraz kilka słów o własnej personie, jako że nieporozumienia koło niej powstałe mogą łatwo przenieść się i na rachunek pisma. Ludzie solidni i przyzwoici, czyniący z życia spokojną poduszkę pod głowę, nie chcą zrozumieć, »czego właściwie on chce i po co się rozbija«. I znowu odpowiedź na to nie jest kwestią wyłącznie prywatną, ponieważ tłumacząc jednostkę, jednocześnie uzasadnia powstanie i istnienie pisma.

A więc odpowiem; jeszcze przed rokiem moje wystąpienia poetyckie i publicystyczne były wekslami bez pokrycia. Awanturowałem się w imię swej niezależności i pogardy do dzisiejszego ustroju i społeczeństwa. Węsząc trupi zapach jego rozkładu, umiałem zdobyć się na negację i protest, ale nie wiedziałem, w którą stronę się obrócić i w co uwierzyć. Był to okres eklektyzmu ideowego i poszukiwań, okres tomu »O czerwonej krwi«, pierwszych konfiskat, wylania z uniwersytetu przez zgorszonych księżulków i redagowania dawnej »Trybuny«. Okres ten zakończył się wydaniem książki »W przeddzień« i zerwaniem ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, do którego, niestety, przedtem lekkomyślnie dałem się wciągnąć. Miesiące następne to ostateczne zorientowanie się w kierunku klasowości i podjęcie wydawnictwa »Barykad«.

Tyle historia i chronologia. Logika dodaje: zdarzyła się kulturalna i ekonomiczna katastrofa w świecie. Wszyscy są za nią odpowiedzialni i wszyscy są obowiązani tworzyć nowe konstrukcje, aby po usunięciu gruzów rozpocząć budownictwo przyszłości. Człowiek, który na podstawie faktu istnienia w społeczeństwie jest obywatelem, a z fachu literatem posiada podwójny obowiązek reagowania na zjawiska życiowe. Raz w płaszczyźnie polityczno-ustrojowej, dwa w płaszczyźnie literacko-artystycznej. Z tego zdajemy sobie sprawę i ja, i moi towarzysze”.

Ten nieco przydługi cytat „spowiedzi” przytoczyłem, by wskazać na jej reprezentatywność dla pewnego kręgu młodego pokolenia literackiego, którego Łobodowski był przedstawicielem. Szkoda tylko, że wypowiedź ta nigdy nie trafiła do szerszego kręgu czytelników. Starosta grodzki zarządzeniem z 15 stycznia 1933 roku nałożył areszt na ledwie wydany numer „Barykad”, a Sąd Okręgowy 18 stycznia na posiedzeniu niejawnym zarządzenie to zatwierdził. Na szczęście przy aktach sprawy ocalał unikalny egzemplarz „dwutygodniowego dodatku”.

(cdn.)

SPRAWDZENIE STUDENTKI

(50 PROC. SCIENCE FICTION)

Waldemar Piasecki

KAZIK przestał żuć gumę. Powoli odłożył noktowizyjną lornetę. Z zawodową rutyną odbezpieczył pistolet P-64 i wprowadził nabój do komory. Ostrożnie odłożył broń na stary stół stojący koło okna. Z wewnętrznej kieszeni ciemnozielonej amerykańskiej kurtki desantowej wyjął walkie-talkie. Sprawdził jeszcze raz zakres obowiązującej dziś fali. Nacisnął klucz mikrofonu.

— Adept do Asesora. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

— Tu Asesor. Bez zastrzeżeń. Odbiór.
— Jeleń wyszedł z lasu.
— Sam?
— Sam.

— No to według drugiego wariantu. Koniec.

Starannie schował miniaturowy radiotelefon i sięgnął po lornetkę. W optycznej deformacji podczerwieni widział zbliżającego się do zabudowań mężczyznę. To był „Jeleń". Szedł pewnym krokiem, nie oglądając się. Kazik znał jego każdy ruch. Na tę wiedzę pracowali z Leszkiem dziesięć dni. Dokładnie od 14 grudnia, gdy krótko po lunchu w ich biurze zadzwonił telefon, a nerwowy głos zaproponował spotkanie w „Czarciej Łapie".

Nie chciał brać tej roboty. Nie na początek. Po dwóch udanych konwojach grubszej gotówki oraz wyśledzeniu miejsca kręcenia kamerą video cyklicznych seksparty z udziałem córek znanych osobistości lokalnej society — nie czuł potrzeby silniejszych wrażeń. To raczej Leszek ciągnął w tę stronę, namawiał, kusił. Kazik uległ po argumencie profesjonalnym: „To nas ustawi na rynku". Stał więc oparty o ścianę i spoglądał na pistolet. Uświadomił sobie, że podczas dwudziestoletniej roboty w milicji nie użył go ani razu. Owszem, strzelał czasam na strzelnicy, ale to nie było to. W interwencji nigdy nie musiał po broń sięgać. Na dobrą sprawę nie wiedział czy potrafiłby strzelić do człowieka.

Leszek po zakończeniu połączenia, ruszył leśną przecinką w kierunku drogi E-81. Zgodnie z przewidywaniami, na dojeździe do niej od strony parkingu dla utrudzonych wycieczek („Chce wycieczka do laseczka") powinno parkować srebrzyste volvo 340. Stało. Zbliżył się do pojazdu wolno, uważnie oglądając się za siebie i na boki. odruchowo spojrzał na zegarek. Dochodziła 23.07. Miał jeszcze czas. Zakładając najbardziej niekorzystny wariant, „Jeleń" nie mógł wrócić przed 23.40. Wyjął z kieszeni kombinerki. Pochylił się w kierunku tylnego koła. Po chwili dał się słyszeć syk szybko uchodzącego powietrza. Powtórzył się jeszcze trzykrotnie. Pozostawało już tylko czekać.

Kazik usłyszał zgrzyt klucza. Potem drugiego i trzeciego. Drzwi zaskrzypiały i szybko się zamknęły. „Jeleń" był w środku. Pod drzwiami zobaczył smugę światła. Otechnął z ulgą. Było jasne, że „Jeleń" szedł na pewniaka. Nie spodziewał się czyjejkolwiek obecności, więc spokojnie zapalił światło w hallu. Kazik podniósł końcówkę kabla zakończoną włącznikiem. Nacisnął go. Chwilę potem usłyszał stukot zamykania solidnych, dębowych drzwi gabientu. Spojrzał na zegarek: była 23.18. Odczekał dwie minuty i sięgnął po walkie-talkie.

— Adept do Asesora. Jak mnie słyszysz? Odbiór.
— Tu Asesor. Bez zastrzeżeń. Odbiór.
— Jeleń w karmniku. Oko otwarte.
— Dziękuję. Koniec.

Leszek wybrał inny zakres fali.

— Asesor do Albinosa. Jak mnie słyszysz? Odbiór.
— Albinos do Asesora. Bez zastrzeżeń. Odbiór.
— Zapraszam. Potwierdzasz? Odbiór.
— Jest potwierdzenie. Odbiór.
— Koniec.

Od strony parkingu ruszył w kierunku volvo ubrany w ciemną kurtkę wysoki, wysportowany mężczyzna.

Kiedy Kazik usłyszał trzaśnięcie drzwi gabinetu, nacisnął wyłącznik, który cały czas spoczywał w jego dłoni. Spojrzał na zegarek. Cyfrowy wyświetlacz pokazywał 23.31. Usłyszał szczęk zamków przy drzwiach wejściowych do domu. Ponownie sięgnął po radiotelefon.

— Adept do Asesora. Jak mnie słyszysz? Odbiór.
— Tu Asesor. Dobrze. Odbiór.
— Jeleń wraca do lasu. Odbiór.
— Zrozumiałem. Koniec.

Leszek wyciągnął rękę, a Przybysz wyćrenowanym ruchem założył na jej przegub bransoletkę kajdanków. Równie szybko ją odpiął. Wszystko się zgadzało. Obaj skryli się w krzaki tuż obok pojazdu. Do finału pozostawały minuty.

„Jeleń" nadchodził gwiżdżąc pod nosem przebój Stevie Wondera. Był zadowolony. Wszystko poszło tak, jak zaplanowała Barbara. Bez kłopotu otworzył skrytkę pod podłogą gabinetu doktora Zygmunta G., jej męża i opróżnił ją ze wszystkiego, co w niej było. Starannie zamknął drzwi wejściowe kluczami otrzymanymi od Basi. Teraz czekała go tylko jazda do Lublina. Najwyżej dziesięć minut. A potem, o piątej rano na samolot rejsowy Warszawa — Nowy Jork o 9.10. W zasadzie żal mu było znanego ginekologa, ale w końcu nie musiał żenić się z tak młodą i atrakcyjną dziewczyną, swoją na dodatek studentką.

Otworzył drzwi volvo, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go. Rozrusznik zakręcił natychmiast. Powoli puścił sprzęgło. Silnik szarpnął i zgasł. Powtórzył zabieg. Raz, drugi, trzeci. Otworzył drzwi i wysiadł. Gdy schylał się, aby obejrzeć opony otrzymał potężne uderzenie w kark. Ktoś wykręcił mu ręce do tyłu. Na przegubach poczuł chłód metalu.

— No to, wszystko skończone — usłyszał.

A po chwili.

— Asesor do Adepta. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

— Tu Adept. Bez zastrzeżeń. Odbiór.

— Jeleń w klatce. Zapraszam. Koniec.

Dyżurny RUSW w Lublinie nie ukrywał zaskoczenia. Siedział przed nim w kajdankach trzydziestoparoletni playboy lubelski doprowadzony przez znanych mu dobrze z milicji Kazika i Przybysza. Na biurku leżał foliowy worek z plikami połączonych recepturkami dolarów, złotymi krugerandami i „świnkami". Najciekawsze było jednak to, co opowiadali konwojenci playboya. Brzmiało to, jak scenariusz filmowy.

Ginekolog Zygmunt G., uchodzący za człowieka więcej niż zamożnego, znany również, jako kolekcjoner-filatelista powziął któregoś dnia podejrzenia co do lojalności jego dwudziestotrzyletniej małżonki Barbary. Czwartej już zresztą. Wzięły się one z podsłuchanej przypadkowo prowadzonej przez nią rozmowy telefonicznej. Rozmówcą był mężczyzna, a treść dialogu przyprawiła pana doktora o zdumienie. Postanowił działać. Poza zasłyszanym fragmentem rozmowy żadnych dowodów nie miał. Gdy zastanawiał się co robić, któryś z kolegów opowiedział mu o Agencji „Adept". Zatelefonował i umówił się w „Czarciej Łapie". Po wysłuchaniu doktora pracownicy „Adepta" przyjęli robotę. Przez ponad tydzień żona ginekologa i jej amant byli śledzeni. Zarejestrowano także na taśmie video ich spotkania w pewnej podlubelskiej restauracji oraz ich rozmowy w mieszkaniu playboya. Z materiału wynikało, że duet zamierza ograbić lekarza i udać się na dłużej za granicę. Czas przeprowadzenia akcji wybrali, gdy doktor G. udał się na kongres ginekologiczny do Mrągowa. Żeby zapewnić sobie alibi Barbara G. całą noc, podczas której miała zostać opróżniona skrytka doktora, spędziła u koleżanki.

Znając termin kradzieży, detektywi „Adepta" postanowili przebieg wydarzeń kontrolować i rejestrować. W gabinecie Zygmunta G. zainstalowano „ukrytą" kamerę video. Uruchomił ją Kazik krótko po wejściu do domu amanta doktorowej. Samochodem zajął się Leszek, a obezwładnieniem playboya, zaangażowany do tego zadania, pracownik resortu, specjalista sportów obronnych. To wszystko.

Dyżurny RUSW, po wysłuchaniu opowieści, sięgnął po słuchawkę. Po drugiej stronie długo nikt się nie zgłaszał.

— Obywatelu szefie, przepraszam, że budzę. Ale sytuacja jest szczególna...

✦

Lokal przy ulicy Chopina. Niewymuszona atmosfera. Drinki, kanapki, swobodne żarty. Odbywa się właśnie uroczystość otwarcia Agencji „Adept". Niestety to, co przeczytaliście dotąd jest mistyfikacją, wymysłem wyobraźni kształtowanej na polskiej klasyce powieści kryminalnej. Proza jest bardziej przyziemna i oczywista. Gdyby w rzeczywistości miało się dziać, tak jak wyżej, pracownicy agencji musieliby odpowiedzieć przed tzw. prawem na kilka kłopotliwych pytań. Skąd wzięli pistolet P-64? Jak udało im się podsłuchać rozmowy doktorowej i jej amanta? Skąd wzięli kajdanki? Sprzęt noktowizyjny? O jaki przepis oparte było oczywiste naruszenie nietykalności osobistej playboya? Oraz manipulowanie przy jego pojeździe? No a aparatura krótkofalowa? A filmowanie na video bez uzyskania zezwolenia zainteresowanego?

Do bardziej intymnych należy zaliczyć pytania, jakie otrzymałby od przełożonych ów pracownik resortu zatrudniony do tej konkretnej akcji na umowę-zlecenie.

Same zatem kłopoty.

Dorzucam do nich także swoje wątpliwości. „Adept", jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, odpowiada prawnie na następstwa swych działań do wysokości udziałów jej uczestników. W naszym przypadku — 4×10 000 zł. Co by było, gdyby „Jeleń" zwiał z gotówką, a doktor zgłosił się o wyrównanie strat wynikłych z niechlujnego działania agentów? Czy zadowoliłby się kwotą 40 tysięcy straciwszy grubo, grubo więcej i w innej walucie? Albo inna jeszcze sytuacja. Mąż każe śledzić żonę, bo ta go zdradza. Kobieta orientuje się jednak, że za nią łażą i powiadamia MO. Milicja zatrzymuje agenta. No i jak on się będzie tłumaczył? Jak uzasadni stwarzanie (w oczach tropicnej) zagrożenia osobistego? Na ten rodzaj usług po prostu nie ma u nas przepisów i wpakować się w kabałę jest bardzo łatwo!

Innym zupełnie aspektem jest już bezpieczeństwo osobiste agentów. Powiedzmy, że mąż wraca z polowania i zastaje w swoim domu jakiegoś faceta, który stara się uciec, a potem rzuca się na gospodarza. Myśliwy sięga po sztucer i kładzie intruza strzałem na komorę. Po czym powiadamia organa. Okazuje się, że był nim agent „Adepta" najęty przez zazdrosną żonę w celu wyśledzenia zdrady męża rzekomo jadącego na polowanie. Poza kwalifikacją czynu myśliwego (problem: czy była to obrona konieczna?) pozostaje jeszcze kwestia szkody, jaką poniósł agent oraz jego wielodzietna rodzina. Czy był to raczej wypadek przy pracy czy też może bardziej prozaiczne włamanie? Takie pytania można mnożyć długo.

Pracownicy-udziałowcy spółki ripostują mi, że można się od takich sytuacji ubezpieczyć. Choćby w „Weście". Ale czy naprawdę od wszystkich? Wreszcie Kazik zgadza się, że będzie to balans na linie, po której z jednej strony jest jeszcze prawo, a po drugiej bezprawie.

Przechodzimy więc do bezpieczniejszych tematów. Na przykład: genezy powstania „Adepta". Pomysł powstał ponoć dwa lata temu, a jego orędownikiem był felietonista lubelskiej gazety J. M. Niestety — zdaniem wspólników — żurnalista nie wywiązał się z zobowiązań, jakie przyjął i trzeba mu było odebrać całą dokumentację oraz zająć się kwestią rejestracji samemu. Ostatecznie dokonało się to 24 listopada 1988 roku, a pod postanowieniem sądu podpisała się sędzina Maria Kaczmarek z II Wydziału Cywilnego Sądu Rejonowego w Lublinie.

Kiedy rozmawiamy są w „Adepcie" trzy zgłoszenia. W tym jedno najbardziej frapujące. Sprawdzenie studentki. Rzecz polega na tym, że ktoś ma pokój na stancję i chce w nim widzieć studentkę, ale tylko sprawdzoną. Sprawdzenie ma przeprowadzić Kazik.

— Drugi... — woła ochoczo Leszek i podnosi do góry dwa palce, jak w szkole.

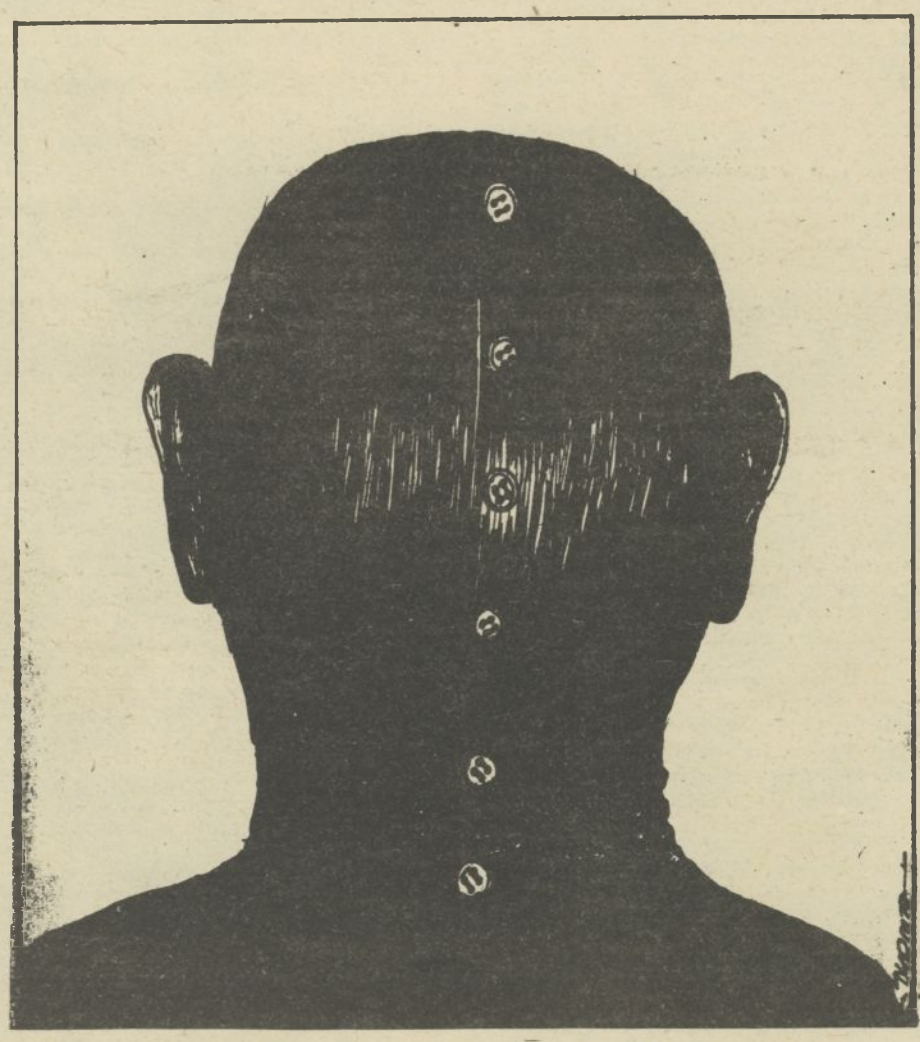

Rys. Jan Surma

Z POWODU MROŻKA

Rozmowa z Alice Le Maistre attachę kulturalnym Ambasady USA w Polsce

— Mówią, że znalazła się pani w naszym kraju z powodu Sławomira Mrożka.

— Przed chyba dwudziestu laty mój najstarszy polski znajomy, Andrzej Wirth, podarował mi zbiór opowiadań „Słoń" (oczywiście w angielskim przekładzie). Pochłonęłam książkę jednym tchem i bardzo długo nie mogłam wyzwolić się z wrażenia, jakie na mnie zrobiła... Po prostu chciałam lepiej poznać kulturę, z której pochodzi człowiek o takim poczuciu humoru. Nie znałam wtedy języka polskiego i w ogóle moja wiedza o Polsce była powierzchowna. Z czasem okazało się, że są możliwości przyjazdu do was na dłużej i w charakterze osoby odpowiedzialnej za stosunki kulturalne. To zdopingowało mnie do bardzo intensywnej nauki języka oraz zapoznania z waszą historią, kulturą, sztuką, literaturą. Na początku jednak, jak pan zauważył, był Mrożek. Jest moim ulubionym polskim dramatopisarzem do dziś.

— Czy to pani pierwsza funkcja attachè kulturalnego?

— Nie. Trzecia. Poprzednio byłam w Australii i Czechosłowacji.

— Czy, jako osoba odpowiedzialna w Ambasadzie USA za sprawy kultury, jest pani zadowolona z obecnego poziomu wymiany kulturalnej pomiędzy naszymi krajami? Jeżeli można mieć własną opinię w tej kwestii, powiedziałbym, iż postęp jest widoczny. Myślę przede wszystkim o dwóch wielkich wystawach: Teatru Amerykańskiego w Polsce i Polskiego Malarstwa XIX wieku w USA, które były wydarzeniami ubiegłego roku.

— Myślę, że poziom wymiany powinien być wyższy. Mam jednak świadomość, że aby go podnosić, potrzebne są także rosnące nakłady finansowe, z czym bywa różnie (na ogół źle). Współpracujący z nami ludzie z resortu kultury, edukacji narodowej, instytucji kulturalnych, „Pagartu" są jednak zawsze pełni dobrej woli, chęci pokonania przeszkód, otwarci, mili. Jeżeli się coś nie udaje, to na pewno nie wskutek czyichś zaniedbań, czy niechęci, a zwykle z powodów finansowych.

Wracając do obu wspomnianych wystaw, muszę powiedzieć, że nasza była najważniejszą, jaką przedstawiliśmy polskiej publiczności od co najmniej dziesięciu lat. Wasza, jak mi mówiono, jest w ogóle największą po wojnie. Wystawę Teatru Amerykańskiego prezentowano nie tylko w Warszawie, ale także w Krakowie i Poznaniu. Malarstwo polskie (od Canaletta do Witkacego) z Nowego Jorku uda się do Chicago oraz Waszyngtonu. Już dziś wiadomo, że w Nowym Jorku wystawa ta odniosła sukces. Przy tej okazji muszę wyrazić najwyższe uznanie dla dr Agnieszki Morawińskiej z Muzeum Narodowego, której zasługi w zrealizowaniu tej ekspozycji są trudne do przecenienia. Mówiąc teraz o naszej wystawie, trzeba dostrzec dużą pomoc centrum sztuki „Studio".

Generalnie podzielam opinię, iż ubiegły rok był istotnie dobry dla wymiany.

— Zresztą nie wszystkie jej przejawy da się chyba skatalogować?

— Nie o wszystkim wiemy i nie mamy wcale takich ambicji. Znaczna część wymiany realizowana jest poprzez kontakty impresariatów, zainteresowanych instytucji artystycznych czy wreszcie osób indywidualnych. Jeżeli — powiedzmy — Krzysztof Penderecki dogadał się z Gilbertem Levinem i zaangażował go w Filharmonii Krakowskiej jako pierwszego dyrygenta, to ja się mogę tylko cieszyć. Nie mam jakichkolwiek tytułów, aby w takich kontaktach pośredniczyć. Wymiana kulturalna pomiędzy Polską i USA nie odbywa się poprzez drobiazgowe realizowanie jakichś protokółów i porozumień terminowych. Ma formy naturalne i dalekie od biurokracji. Tak zapewne pozostanie.

— Jakie by były poglądy na niezależność kultury od polityki, trzeba zauważyć, że w kontaktach kulturalnych Polski i USA czynnik polityczny odgrywał dużą rolę. Czy pani podziela ten pogląd? Jak to wygląda obecnie?

— Czynnik polityczny zawsze był ważny, ale nigdy nie był decydujący. Relacje między naszymi krajami poprawiły się. Napięcie jest wyraźnie mniejsze i ta tendencja postępuje. Trudno byłoby nie widzieć tego także z perspektywy ogólnego polepszenia stosunków Wschód—Zachód, związanego z „pieriestrojką", „głasnostią".

— Losy wielu wybitnych Polaków związane były i są z ziemią amerykańską. Było (i jest) wśród nich wielu artystów i twórców, takich jak chociażby Helena Modrzejewska, Ignacy Paderewski, Wanda Landowska, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Maria Kuncewiczowa, czy w czasach nam bliższych: Czesław Miłosz, Jerzy Kosiński, Roman Polański. Jakie czynniki, pani zdaniem, mogą decydować o wiązaniu przez Polaków swojej drogi twórczej z USA? Jakie wspólne wartości, standardy kulturowe?

— Być może łatwiej mogłabym odpowiedzieć, gdybym była artystką. Niestety, nie jestem. Jeżeli chodzi o wspólne wartości i standardy, to uważam, że pochodzą one ze wspólnych źródeł kultury europejskiej. Z nich wyrosła cywilizacja i kultura amerykańska. Naturalnie nasza kultura nie jest prostym powieleniem czy odwzorowaniem kultury europejskiej, choć zaplecze jest to samo. Myślę, że istnieje pewna grupa wartości bardzo cenionych w USA, które są równocześnie bardzo ważne dla Polaków. Zaliczyłabym do nich: tolerancyjność, indywidualizm, wrażliwość, uczciwość, wiarę w siebie. Te imperatywy mogły być dla Polaków ważne, gdy nie mieli własnego państwa, a mogli odtwarzać owe imperatywy w innej rzeczywistości. W przypadku artystów dodałabym oczywiście możliwość samorealizacji twórczej. A ponadto — obecność bardzo dużej grupy etnicznej Polaków. Wszystkie te czynniki mogły przesądzać o „atrakcyjności" USA dla Polaków, zaś konkretne dzieła twórcze przekonywać, że nasza kultura nie hamowała artystycznego rozwoju wybitnych reprezentantów waszej sztuki.

Do tych rozważań trzeba jeszcze dodać pewne ogólne warunki, decydujące o artystycznym sukcesie. Po pierwsze: talent. Po drugie — szczęście, które — jak powiadają — każdy sam sobie buduje, ale nie do końca. Oczywiście — pracowitość i wytrwałość. A także coś, co nazwałabym życiową zaradnością. Ową polską umiejętnością „załatwiania", która jest zupełnie nieprzekładalna ani językowo, ani znaczeniowo na angielski.

Reasumując; kto był (i jest) prawdziwym artystą w Polsce, zwykle staje się także artystą w USA. Kto miał w Polsce predyspozycje artystyczne, ale z jakichś względów nie realizował ich, ma szanse (klasycznym przykładem jest tu Jerzy Kosiński) zostać artystą. Oczywiście mam tu na myśli artystów tej klasy, co na przykład Wajda, Ochman, Kord, Abakanowicz. Kto natomiast artystą w Polsce nie był, bo nie miał do tego talentu, nie będzie nim w USA.

— Obecnie przebywa w Stanach duża grupa młodych polskich twórców: plastyków, aktorów, muzyków, pisarzy. Są bardzo aktywni i zmieniają „image" polskiej grupy etnicznej. Jak ocenia pani to zjawisko?

— Ma pan rację. „Image" polski zupełnie się ostatnio zmienił. Można szukać przyczyn w czynnikach zewnętrznych (np. w konsekwencjach wyboru papieża Jana Pawła II, w „Solidarności"), ale najważniejsze pozostaje to, co Polacy znaczą w USA. Zgadzam się, że znaczą coraz więcej, bo nowa emigracja jest grupą wykształconą, rozbudzoną intelektualnie, znającą język, obytą w świecie. Te walory są dobrze widoczne na tle innych grup etnicznych. Sama zresztą dostrzegam te zmiany podczas kolejnych pobytów w kraju. Ludzie nie pytają mnie już, za czym stoją kolejki, ale co się gra w teatrach, kinach, jakie książki polskich pisarzy warto czytać.

— Jeżeli już pozostajemy przy tym temacie, spróbujmy zdiagnozować przypadek Jerzego Kosińskiego oraz jego dwujęzyczności i dwukulturowości. Swoistego „homo duplex". Przy tej okazji dodam, że zeszłoroczna wizyta pisarza w Polsce po trzydziestu latach była, w dużej mierze, pani zasługą.

— Nie wiem, czy to przypadek, czy rezultat świadomej postawy, że Jerzy nie utracił nic ze swej polskości, ale także oparł się izolacjonizmowi, w jaki popadają często przybysze do USA. Nie wiem, czy jest w pełni dwukulturowy (że jest dwujęzyczny nie ma jakichkolwiek wątpliwości)... Uważam, że nigdy nie może nastąpić absolutne wyrównanie poziomów kulturowości, gdy się przybywa do obcego kraju, mając dwadzieścia kilka lat. Mimo wszystko jest on dla mnie polskim Amerykaninem. I nie mam tu na myśli czegoś pejoratywnego. W tym leży cała niezwykłość Kosińskiego i mam nadzieję, że się nie obrazi. W gruncie rzeczy jestem chyba tradycjonalistką: uważam, że o pełnej identyfikacji z kulturą przesądza jednak wychowanie w niej od dziecka lub wczesnej młodości, a praktycznie kryterium języka. Jeżeli świat umysłowy budowany jest w oparciu o jakiś „pierwszy" język, to ten język określa przynależność kulturową.

— Jest pani koneserką polskiej kultury i sztuki, naturalnie także — amerykańskiej. Czy pani rodacy mają jakąkolwiek świadomość tego, że amerykańską kulturę tworzyli także przybysze z Polski?

— To tak, jakby mnie pan zapytał, czy Francuzi mają świadomość, że poeta Apollinaire był Polakiem z pochodzenia. Niektórzy być może mają, ale co z tego wynika? On był poetą francuskim, on wybrał ten język i tę literaturę. Tak samo Joseph Conrad był pisarzem angielskim. A powiedzmy Samuel Goldwyn, założyciel MGM, wybitny producent i twórca potęgi Hollywood, też zasłynął jako filmowiec amerykański, a nie jako sprzedawca rękawiczek z Polski. Tak więc poziom świadomości etnicznego pochodzenia artystów jest pewnie bardzo różny wśród ich odbiorców. Nie tylko w USA, ale wszędzie. Malarz Jan Matejko był Czechem, ale przecież nie w Pradze zasłynął ze swych obrazów.

— Czego oczekuje pani po wymianie kulturalnej naszych krajów w bieżącym roku? Co zobaczymy?

— Chciałabym, aby obecny rok nie był gorszy od poprzedniego. Są pewne podstawy, aby tak było. Niewątpliwie wydarzeniem numer jeden będzie wielka wystawa poświęcona amerykańskiemu filmowi, przygotowywana na jesień. W kwietniu, w Muzeum Etnograficznym otwarta zostanie wystawa „Eskimosi", a już 6 lutego w Zachęcie wystawa fotografii Tomasza Tomaszewskiego „Poszukiwanie Ameryki". Również w kwietniu przygotowujemy tydzień filmowy, podczas którego zechcemy pokazać najlepsze obrazy ubiegłego roku. Melomanów zainteresuje zapewne przyjazd znakomitego śpiewaka operowego Arleya Reece, a także Orkiestry Filharmonicznej z Pittsburga. Przygotowujemy się do wielkiej wystawy amerykańskiego rzemiosła i sztuki użytkowej, którą zaplanowaliśmy na 1990 rok.

— W strukturze dyplomatycznej posiada pani bardzo wdzięczną „działkę", bo efekty pani pracy są widoczne w sposób oczywisty, dostępne tysiącom ludzi. Czy ma pani tego świadomość, satysfakcję?

— Naturalnie. Mówiono mi często, że mam zdecydowanie najciekawszą pracę w ambasadzie. Zgadzam się. Po pierwsze, mam okazję spotykania się z najciekawszymi artystami i twórcami Polski. To jest dla mnie zawsze wielką przygodą intelektualną. Po drugie, mam jakiś wpływ na prezentację kultury mego kraju w Polsce, a więc realne zbliżanie USA do Polski. Po trzecie — ja tę pracę po prostu kocham!

— No i po czwarte jest pani po prostu profesjonalistą. Dziękuję za rozmowę.

— A ja za komplement.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

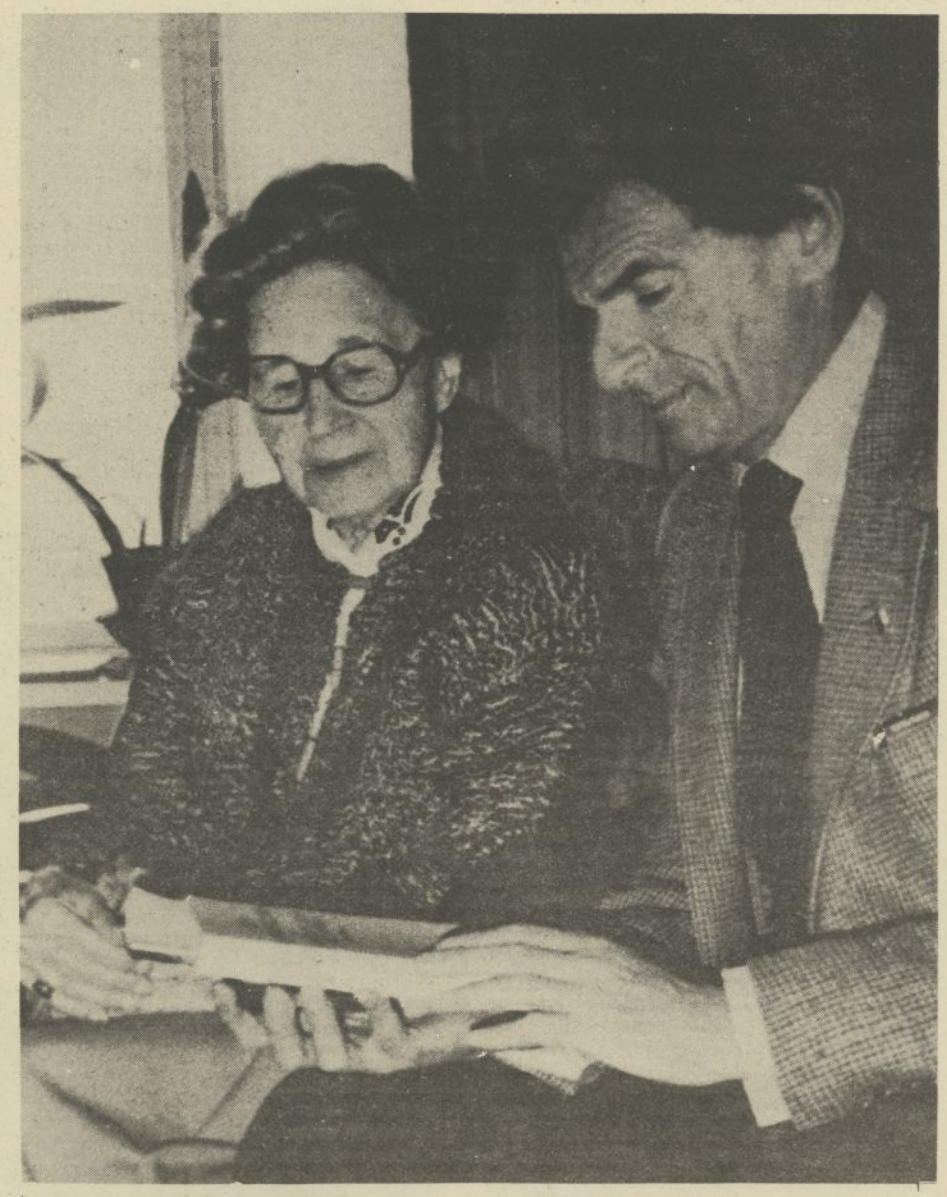

Kwiecień 1988 roku. Jerzy Kosiński u Marii Kuncewiczowej w Kazimierzu. Wizyta w Polsce autora „Pomalowanego ptaka", „Kroków" i „Pustelnika z 69 Ulicy" była niewątpliwym wydarzeniem nie tylko w stosunkach kulturalnych USA — Polska, ale w ogóle całego ubiegłorocznego sezonu kulturalnego w naszym kraju.

Fot. Waldemar Piasecki

„MÓJ PRZYJACIEL IWAN...” CZYLI DLACZEGO NIE KOCHAMY RADZIECKIEGO KINA? (2)

Marek Nalikowski

PRZYPOMINA mi się oglądany niedawno obrazek z wystawy. Przed malowidłem, przedstawiającym powstańca zakuwanego w kajdany po klęsce Powstania Styczniowego, starsza pani mówiła do wnuczka: „Zobacz, jak Rosjanie gnali Polaków na Sybir. Zawsze nas tak męczyli!” Miała to być lekcja historii, z pewnością była lekcją nienawiści.

Nie da się jednak niechęci do wszystkiego, co rosyjskie i radzieckie, złożyć na karb tradycji narodowej, zaborów i utraty niepodległości. Historia stosunków polsko-niemieckich obfituje w nie mniej dramatyczne momenty, a przecież nastawienie polskiej młodzieży wobec zachodnioniemieckich rówieśników wolne jest od nienawiści, czego z kolei nie są w stanie zrozumieć starsze pokolenia, zdaniem których czas wybaczenia i zapomnienia jeszcze nie nadszedł. Postawy współczesnej młodzieży nie są jedynie rezultatem takiego a nie innego wychowania w domu, w o ileż większym stopniu powojennej polityki zafałszowań i nieudolnej, nachalnej propagandy.

Publikowane niedawno w „Tygodniku Kulturalnym” rozmowy Teresy Torańskiej z Jakubem Bermanem i Julią Mincową są niezwykłym dokumentem, oddającym ducha owej propagandy. Oto czytamy wypowiedzi ludzi stojących w czasach stalinowskich u władzy, którzy albo uparcie trwają, wbrew oczywistym faktom, przy zupełnie fantastycznej fikcji (Mincowa), albo nie kryjąc faktów świadczących o braku suwerenności państwowej i eksploatacji gospodarczej (Berman), istnienie Polski w jej granicach zachodnich przedstawiają jako dobrodziejstwo li tylko ZSRR, pomijając kwestię granic wschodnich przesądzoną w 1939 r.

Znawcy teologii wiedzą, że przypisanie Bogu zbyt wielu atrybutów, w tym wszechmocy i wszechwiedzy, prowadzi do paradoksu, iż dobry Bóg musi się okazać sprawcą zła, a co najmniej na nie pozwalać. Tak samo nie da się pogodzić wyłączności kreacji PRL przez ZSRR — źródło wszelkich cnót, z całkowitą niepodległością i suwerennością tej pierwszej.

A owe memoriały z prośbą o interwencję zbrojną słane do Breżniewa w 1981 r. przez niektóre osobistości naszego kraju, których nazwiska (tu przypominam dyskusję w „Tygodniku Kulturalnym” sprzed kilku miesięcy) otacza tajemnica niezasłużonego milczenia... Straszak zbrojnej interwencji ZSRR przywoływano w różnych momentach naszej historii i czynili to ludzie należący do różnych orientacji politycznych (jedni grozili, drudzy tylko upominali). Niezależnie od rzeczywistego zagrożenia z pewnością nie przyczynił się on do umacniania przyjaźni między narodami. Trudno sobie wyobrazić, by straszak ów — i na tym polega novum epoki Gorbaczowowskiej i nadzieja prawdziwie przyjaznych stosunków między ludźmi, a nie abstrakcyjnymi instytucjami państwowymi — w obecnej sytuacji mógł kiedykolwiek jeszcze być wykorzystany.

Jak każdy piszący na podobne tematy zastanawiam się, czy ten tekst znajdzie się w druku. Jeśli tak, to ucieszyłbym się, bo znaczyłoby to, że jest lepiej, niż myślę — że można szczerze mówić o resentymentach, animozjach, stanie serc i nie ukrywać faktów pod deklaracjami o rosnącej przyjaźni i wszechstronnej współpracy. Choćby przywódcy obu państw codziennie robili po kilka „niedźwiedzi” i namiętnie całowali się w usta, nie zaczną jeszcze od tego przyjaźnić się narody, które mogą kochać się wyłącznie w indywidualnych kontaktach konkretnych ludzi.

Chciałoby się, by sferę kultury oddzielić od polityki. Wydaje się to trudne, o ile nie niemożliwe. Zwłaszcza, że poszczególne państwa bloku wschodniego znajdują się na różnym etapie zaawansowania procesu przez jednych nazywanego pieriestrojką, przez innych — destalinizacją. Niektóre zaś w ogóle na tę drogę nie wstąpiły. Jeśli do tego dodać rozkład sił postępowych i konserwatywnych w poszczególnych państwach, uzyskujemy tło, na którym niemal każde wydarzenie kulturalne nabiera politycznych reperkusji.

Dlatego gdy w drodze na Zachód trafia do Warszawy ciesząca się ogromnym zainteresowaniem wystawa współczesnego malarstwa radzieckiego i okazuje się, że nie można zorganizować w stolicy dłuższej ekspozycji, to być może jest to jeszcze jeden przejaw niekompetencji osób pracujących „w kulturze”; trudno się jednak dziwić jeśli powstaje plotka-przypuszczenie, że widocznie komuś zależało, by nie było takiej wystawy. Jedyne, co pocieszające — to, że przy braku jakiejkolwiek reklamy w krótkim okresie obejrzało ekspozycję stosunkowo dużo ludzi.

Przykładów tego typu jest zresztą więcej i nie o to chodzi, by je mnożyć. Każdy kraj, który prowadzi jakąś globalną politykę kulturalną (choć z kulturą często niewiele ma ona wspólnego), dąży do kształtowania obrazu własnego kraju na użytek zewnętrzny i wewnętrzny. Jest to znowu naginanie kultury dla doraźnych celów aktualnych przywódców z założeniem oddziaływania na głupszych od siebie. Na nic zdadzą się zakazy i działalność cenzury, skoro wiadomo, że jeśli nie unicestwi się fizycznie powieści, filmu, obrazu, to i tak ujrzą one kiedyś światło dzienne. Jeśli zaś znaczące dzieło upowszechnia się w danym kraju choćby w nie wiem jak symbolicznej formie, to nie trzeba powoływać się na McLuhana, by stwierdzić, że informacje o nim dotrą daleko poza granice.

Jeśli kupuje się takie filmy jak „Temat” Panfiłowa, „Pożegnanie” Klimowa, „Plumbum” Adraszytowa, a widz nie może ich nigdzie zobaczyć, to choć wynika to najprawdopodobniej z kalkulacji kierowników kin, powstają plotki, że ogranicza się ich rozpowszechnianie. Jeśli zaś, jak w przypadku „Plumbum”, zapowiada się emisję filmu w telewizji, a potem na długo tę decyzję wstrzymuje, nic dziwnego, iż wywołuje to komentarze.

Że istnieje odwrotny kierunek tego procesu, wiemy doskonale. Widzowie radzieccy do niedawna mieli skromne wyobrażenie o polskim kinie, czego symptomatycznym przykładem opinia, iż Stanisław Mikulski jest najwybitniejszym aktorem naszego kraju. Obecnie ze zdziwieniem odkrywają, że fala krytyki społecznej, która wyraża się w radzieckiej prasie i telewizji, jest wtórna i spóźniona wobec polskiej szkoły „czarnego dokumentu” filmowego. Z kolei mająca miejsce w Moskwie prezentacja twórczości Andrzeja Wajdy to wydarzenie bez precedensu, gdyż oglądane przez radzieckich widzów „Człowiek z marmuru” i „Człowiek z żelaza” w Polsce należą nadal do dzieł wyklętych.

Dotykamy tu najbardziej bolesnej, a zarazem najważniejszej strony zagadnienia rozpowszechniania bądź nierozpowszechniania danego dzieła — strony moralnej.

Fakt zatrzymania decyzją władz jakiegoś dzieła to z punktu widzenia sztuki fakt opóźnionej recepcji. Normalną tego konsekwencją w przypadku utworów ściśle związanych z chwilą bieżącą będzie starzenie się dzieła i jego odmienne oddziaływanie. Dla podejmujących decyzję zakazu to niezmiennie fakt ośmieszenia i okrycia się niesławną pamięcią.

Oficjalnie głoszony obraz kultury upada wraz z rozpadem nieprawdziwych hierarchii wartości i pozbawionych podstaw panteonów. Obraz tworzony w oparciu o polityczne sympatie władzy i oportunistyczne postawy miernych twórców można zmienić. Nie do naprawienia jest natomiast krzywda moralna i materialna, jaka spotkała artystów, których dzieła zatrzymano, skonfiskowano lub jedynie napiętnowano (pomijam wyroki śmierci jako ekstremalne zjawiska z przeszłości).

Siergiej Paradżanow spędził w więzieniu wiele lat, oskarżony o pospolite przestępstwo. „Komisarz” Askoldowa przeleżał 20 lat (twórcy oznajmiono, że taśma spłonęła, że film jest antyradziecki, kiedy zaś odnalazł kopię, okazało się, że była pocięta na kawałki), a sam reżyser został całkowicie odsunięty od zawodu, pozwolono mu zrealizować jedynie parę telewizyjnych programów rozrywkowych. W porównaniu z Askoldowem Kirę Muratową potraktowano bardzo łagodnie: „Krótkie spotkania” skierowano do wąskiego rozpowszechniania, „Długie pożegnania” napiętnowano odgórnie, ale realizatorka mogła potem zrobić jeszcze dwa filmy (w 1978 i 1983).

Odmienny lot spotkał Tarkowskiego, Michałkowa-Konczałowskiego i Joselianiego, których warunki zmusiły do emigracji, aczkolwiek status emigracyjny każdego z tych twórców był nieco inny. Szczególnie dotkliwie, jak się wydaje, odczuł emigrację Tarkowski (co widać zarówno na powstałej we Włoszech „Nostalgii”, jak i szwedzkiej „Ofierze”), stosunkowo dobrze przyjął się na rynku amerykańskim Michałkow-Konczałowski („Kochankowie Marii”, „Uciekający pociąg”, „Nieśmiali ludzie”). Nie sposób jednak całej złożoności ich decyzji o emigracji skwitować tak, jak uczynił to na łamach „Iskusstwo Kino” Władimir Dmitriew, mówiąc, że „Ofiara” to „konstrukcja szwedzkiego pochodzenia”, zaś Michałkow-Konczałowski przekształcił się w „drugorzędnego amerykańskiego reżysera”. Zwykłe oceny estetyczne wydają się w tym wypadku zwyczajnie niemoralne.

Mowa tu o głośnych twórcach, uznanych na Zachodzie, a przecież ilu było anonimowych realizatorów, których talentom nie pozwolono się rozwinąć, o których nie dowiemy się, bo nie stworzyli dzieł, sprawiających, że pamięć o nich pozostanie, twórców, co nie mogli kręcić filmów w swojej ojczyźnie. Spośród nich wymienia się teraz Michaiła Kalika (po emigracji do Izraela nie potrafił odnaleźć się w nowej rzeczywistości i odmiennym systemie produkcyjnym). Mowa także o dziełach, które po zdjęciu z nich odium politycznego zyskały rozgłos dzięki nagrodom na światowych festiwalach.

Inaczej natomiast wyglądać będzie kontakt dzisiejszego widza z filmami nie mającymi żadnego wydźwięku politycznego, utrzymanymi w popularnej niegdyś stylistyce, która w dobie filmów widowiskowych może wydać się anachroniczna. Mam na myśli ściszone filmy Kiry Muratowej, przez swą niewinność wywołujące zdziwienie, że można im kiedyś było stawiać zarzuty natury ideologicznej; filmy pełne uroku, ale uroku o posmaku historycznym, jaki byśmy odczuwali, przypominając sobie kino Vardy i Chytilovej. Nie można powiedzieć, że się zestarzały, a podważanie ich wartości artystycznej przy pomocy tego argumentu — wszak wiadomo, że prawdziwa sztuka jest ponadczasowa — byłoby głupie i podłe. Jednakże dzisiejsze z nimi obcowanie odbywa się nieuchronnie przez filtr historii.

Polityka naprawiania filmowych szkód obejmuje także rekonstrukcję dzieł w ich pierwotnie zamierzonym kształcie. Powszechnie znany jest rekord Elema Klimowa — 169 poprawek zaleconych do wprowadzenia do „Agonii”. Nic jednak nie wskazuje, by reżyser zamierzał przemontować film, nadając mu inną postać. Inaczej stało się natomiast z nakręconym w 1965 r. filmem Marlena Chucyjewa „Mam 20 lat”. Niedawno odbyła się w Związku Radzieckim jego telewizyjna premiera, a wraz ze zdjęciami, które niegdyś usunięto, przywrócono mu pierwszy tytuł — „Placówka Iljicza”.

O ile autorska renowacja dzieł nie budzi żadnych zastrzeżeń prócz zadowolenia porównywalnego z tym, jakie by odczuwali archeolodzy, odnajdując ręce Wenus z Milo lub głowę Nike z Samotraki, o tyle datujące się jeszcze z epoki przedgorbaczowowskiej retuszowanie filmów ma pewien wątpliwy aspekt, na który zwrócili uwagę zachodni krytycy i historycy kina.

Mianowicie w nowych kopiach wielu starych filmów wprowadzono poprawki zniekształcające charakter dzieła. I tak w słynnym filmie Romma „Lenin w Październiku” (1937) obok głównego bohatera pierwszoplanową postacią był oczywiście Józef Stalin. Lenin po przybyciu do Petersburga w 1917 roku od razu chciał się widzieć z towarzyszem Stalinem, który także za każdym razem znajdował się u boku Lenina, gdy ten przemawiał. W nowych kopiach filmu osoba Stalina została wyretuszowana lub zasłonięta, a z czołówki usunięto nazwisko aktora odtwarzającego jego postać.

Praktyka ta nie ominęła nawet popularnej komedii Aleksandrowa „Wołga, Wołga” (1938). Starsi widzowie zapewne pamiętają, że pływający po rzece parostatek nosił sławne imię Józefa Wissarionowicza; na nowych kopiach zostało ono zamienione na neutralną nazwę rzeki.

Przypadek filmu Romma można by uznać za przejaw odkłamywania dziejów, gdyby nie to — co właśnie kwestionują badacze filmu — że jest zwyczajnym fałszowaniem historii kina.

Nie wszystkie filmy zostały zdjęte z półek, a szacunkowe dane o nich wahają się od kilkunastu do kilkudziesięciu tytułów. Należy żywić nadzieję, że i one w końcu trafią na ekrany. Owe filmy, które zapisują się na okres Gorbaczowowski, diametralnie zmieniają ocenę poprzedniego okresu, nazywanego obecnie „latami zastoju”. Dzieła bowiem, jak okazuje się, powstawały, nawet w dziedzinie tak uzależnionej od odgórnych decyzji, jaką jest kino. Ich obecność na ekranach to już zupełnie inna sprawa.

Niełatwo będzie usunąć z mentalności polskiego (i nie tylko polskiego) widza negatywne wyobrażenia o „ruskim filmie”, by określenie to nie dyskredytowało wybitnych dzieł i nie mówiło więcej o posługujących się nim, niż o samym obrazie.

Z czasów minionych (choć wydaje się, że było to wczoraj) „film radziecki” kojarzy się nam z filmem wojennym, gdzie Armia Czerwona zawsze zwycięża, a żołnierze radzieccy są szlachetni i bohatersko giną. (Zresztą wojsko, na co skarżył się obecny sekretarz Związku Filmowców ZSRR, Wiktor Dłomin, to ciągle temat tabu). Wzorem dla tego typu utworów przez całe lata był „Czapajew” Wasiljewów, a w wersji epickiej „Oni walczyli za ojczyznę” Bondarczuka. Dlatego tak chlubne wydają się wyjątki — „Wniebowstąpienie” Szepitko i „Próba wierności” Giermana.

„Film radziecki” to także film produkcyjny w wersji kołchoźnickiej i fabrycznej, gdzie dzięki wspólnej i wytężonej pracy wszystko wspaniale rośnie, powstaje i wytwarza się. Zaś określając przez negację — to film, w którym nie ma głębszych konfliktów społecznych, ludzie pozbawieni są problemów egzystencjalnych, miłość, pokazywana konwencjonalnie, wydaje się nieistotnym dodatkiem do pracy, a seks nawet jako słowo nie istnieje (zmiana tytułu „Seksmisji” Juliusza Machulskiego).

Zdaję sobie sprawę, że nie udzieliłem odpowiedzi na postawione w tytule pytanie. Wątpię zresztą, czy jest ona w ogóle możliwa. To zadanie dla psychoanalityka, często usiłującego dotrzeć do źródła jawnego irracjonalizmu. Bardziej zależało mi na przedstawieniu uwarunkowań związanych z rozpowszechnianiem i odbiorem kina radzieckiego.

Z pewnością nie można radzieckiego kina traktować z protekcjonalizmem, maskującym niezasłużone poczucie własnej wyższości (byłoby to równie niewłaściwe jak ideologicznie wymuszane zachwyty). Że też wy coś takiego zrobiliście i cenzura to przepuściła. Zazdroszcząc radzieckim filmowcom i widzom współczesnej tematyki ich kina, nie można przemilczać niebezpieczeństw „publicystyczności” i istniejących nadal tematów tabu. Realizatorzy niejednokrotnie teraz dali się ponieść fali wolności mówienia o takich zjawiskach jak przestępczość, narkomania, prostytucja, przez co filmy te zyskały na wiarygodności we własnym kraju, jednakże przestały być interesujące dla zachodniego widza, który okres drążenia tego typu problematyki ma już za sobą.

To, czego potrzeba popularyzacji kina radzieckiego w Polsce, to normalność. Normalność dystrybucji i krytycznych sądów. Skazywanie filmu radzieckiego wyłącznie na telewizyjną prezentację — dają się słyszeć takie głosy — nie jest żadnym rozwiązaniem, to jedynie przesuwanie problemu, karne zmuszanie do oglądania tych, którzy preferują bierny sposób uczestnictwa w kulturze. Normalność ta zupełnie nie zależy od kwestii artystycznych, żywię jednak nadzieję, że kiedyś nastąpi. Czego sobie i państwu życzę.

KIEDY o prawie i stosowaniu prawa dyskutuje się z największym ożywieniem? Najnowsza historia Polski, i historia w ogóle, podpowiada, że dzieje się tak w okresach napięć politycznych i przesileń formacyjnych. Wówczas dyskusje na temat prawa, praworządności, relacji: prawo — obywatel znajdują nie tylko chętnych, a ostrych w diagnozach wykonawców, ale i wdzięcznych słuchaczy. Ostatnio wzmożone zainteresowanie budzi administracyjny tryb trzymania w ryzach i karania: kolegia do spraw wykroczeń przy jednoosobowych organach władzy (prezydentach, naczelnikach, wojewodach).

KOLEGIA DO SPRAW WYKROCZEŃ NIE MUSZĄ BYĆ SKAZĄ NA NASZYM ŻYCIU PUBLICZNYM...

KOMU? ZA CO? PO CO?

Wiesław Horabik

TENDENCJE do poszukiwania form społecznego udziału w orzecznictwie, wsparte dążeniem do odciążenia sądownictwa, występują nie tylko teraz i nie tylko u nas. Już w latach trzydziestych (ustawa z 1932 roku) specjalny urzędnik starostwa sądził jednoosobowo drobne naruszenia prawa, podobny system zachowano do dziś w ZSRR (staroście odpowiada w tym przypadku przewodniczący miejskiej rady), odpowiedniki kolegiów funkcjonują w Bułgarii i na Węgrzech. W krajach zachodnich wiele spraw o wykroczenia zdejmują z sądowej wokandy policja i magistraty. Naszą specialité pozostaje jednak fakt, że w polskim prawie karnym pojęcie wykroczenia jest albo niezbyt precyzyjne, albo zbyt rozciągliwie interpretowane. Sytuacja taka może, rzecz jasna, prowadzić do nadużyć i manipulacji.

Od 1951 roku, a więc od chwili powołania tej instytucji do życia, administracja państwowa wrzucała coraz to nowe tematy do „kolegialnego" worka. W ten sposób ciało, mające rozpatrywać najdrobniejsze i najbardziej masowe naruszenia prawa, przerodziło się w instrument szybkiej represji, w tym także politycznej. Tymczasem uprawnienia do karania tzw. wykroczeń przeciwko państwu są dla kolegiów „przywilejem" niechcianym, podobnie jak sprawy o kradzieże, i to mimo że przy bardziej wnikliwym oglądzie okazuje się, iż z formalnego punktu widzenia trudno tej społecznie kontrowersyjnej instytucji wiele zarzucić.

Składy orzekające

Na 126 członków Kolegium przy Prezydencie Miasta Lublina, kilkunastu nie posiada wyższego wykształcenia, a cztery osoby legitymują się wyższym wykształceniem prawniczym. Rotacja składu kolegium następuje co cztery lata: zmienia się wówczas około 50 proc. zespołu orzekającego. Najstarszy członek kolegium liczy 77 lat, najmłodszy 27, a większość to osoby czterdziesto-pięćdziesięcioletnie. Emeryci stanowią 8 proc. składu osobowego. Przekrój zawodowy obejmuje: urzędników, robotników, nauczycieli, inteligencję techniczną. Kandydaci na społecznych jurystów typowani są przez zakłady pracy, organizacje polityczne, społeczne i młodzieżowe, a także środowiska branżowe. W kontraście do totalnej feminizacji polskich sądów — kobiety stanowią w kolegiach jedynie 40 proc. składów orzekających.

Poprawność orzekania

Jednym z głównych zarzutów stawianych kolegiom jest wysoki, rzekomo, procent weryfikowalności ich orzeczeń.

Mówi się, iż ponad jedna trzecia orzeczeń ulega uchyleniu przez sądy. Jak jest faktycznie?

Na około osiem tysięcy spraw rozpatrywanych w skali roku przez miejskie kolegium w Lublinie, notuje się około 27 proc. odwołań do kolegium wojewódzkiego, z czego około 50 proc. uznaje się za zasadne. Czy to dużo, czy mało? Biorąc pod uwagę fakt, iż apelacje te stanowią w istocie odwołania do II instancji, trudno mówić o katastrofie. Jeśli zaś chodzi o weryfikowalność orzeczeń kolegiów przez sądy, to mamy do czynienia ze zjawiskiem marginalnym. Rzecz tkwi przy tym głównie w odmiennej perspektywie widzenia tej samej sprawy. Jeśli bowiem kolegium ma prawo rozpatrywać przestępstwa zagarnięcia mienia o maksymalnej wartości pięciu tysięcy złotych, to mając do czynienia z takim przypadkiem, uzna go za przestępstwo najcięższe, podczas gdy sąd kradzież wartości pięciu tysięcy złotych uważa za błahostkę. Wobec istnienia tzw. widełek wyrokowych ma to znaczenie pierwszorzędne.

Instrument represji

Na 7 792 sprawy rozpatrzone przez lubelskie kolegium w 1988 roku uniewinniono 298 osób. Przekazanie kolegium uprawnień do orzekania w tzw. przestępstwach politycznych (ustawa z 1968 roku) było — jak podkreślają środowiska prawnicze — wybiegiem strategicznym. „Uwalniało" sądownictwo od zarzutu prowadzenia procesów politycznych, niezgodnych z szeregiem międzynarodowych umów podpisanych przez Polskę, i kierowało odium niezadowolenia w wygodnym kierunku (ku określonej instytucji społecznej). U podstaw takiej decyzji leżało także bez wątpienia obowiązujące jeszcze do niedawna przekonanie, iż wszelka działalność opozycyjna nosi znamiona chuligaństwa. Wystarczy przypomnieć sobie „elementy chuligańskie" z Poznania '56, Gdańska '70, Radomia '76.

Co gorsza — całe zło nie kończy się na związanej z tym krytyce kolegiów. Posiada ono o wiele szersze implikacje. Rodzi choćby podejrzenia o manipulacje (inne wyroki zapadały w tej dziedzinie w 1982 roku, inne w 1986). Znane są ponadto przykłady pewnego gdańskiego kierowcy, któremu zatrzymano prawo jazdy, by w odpowiednim czasie odwieźć mu je do domu (zawieźć je musiał przewodniczący kolegium, które wcześniej nałożyło rzeczoną karę), czy córki pewnego wojewody, której dla odzyskania takiego samego dokumentu wystarczyła symboliczna opłata „na biednych".

Zawiłość procedury

To fakt, że kolegia do spraw wykroczeń dorobiły się już swoich wiernych klientów. (Są ludzie, którzy gros swojego życia spędzają na kontaktach z tą instytucją. Dotyczy to zwłaszcza drobnych pijaczków, „niebieskich ptaków" i żulików. Są oni karani, płacą, popełniają to samo wykroczenie, zostają ukarani, płacą itd. Zbierając materiał do tego tekstu, sam byłem świadkiem, jak czerstwy, dobrze ubrany osobnik przyszedł wyjaśnić niezgodności w swojej kartotece opłat. Po prostu pogubił się w karach).

Generalnie procedura w kolegiach jest jednak znacznie szybsza niż w sądach. Większość spraw załatwia się w okresie 5—6 miesięcy; nie zdarzają się też przekroczenia ustawowego roku, przeznaczonego na ostateczne rozpoznanie sprawy. W zestawieniu z przewodami sądowymi ciągnącymi się przez lata stanowi to pozytywny kontrast. Kolegia nie prowadzą także rejestrów skazanych, a akta spraw ulegają zniszczeniu po pięciu latach archiwalnej kwarantanny. Lubelskie kolegium posiada dziesięć etatów administracyjnych, co, przy biurokratycznej puchlinie innych instytucji, nie może dostarczać powodu do narzekań.

Niedoskonałość procedury

Przewód rozpoznawczy przed kolegium nie przewiduje obecności adwokata, ale jej również nie wyklucza. Ta fakultatywność bywa często przedmiotem sporów. Istnieje możliwość dopuszczenia świadków obrony, lecz dzieje się z tym różnie. Choćby w sytuacji, gdy sprawca wykroczenia dostarczany jest bezpośrednio przed wysoki skład z aresztu. Od decyzji kolegium przy wojewodzie przysługuje prawo odwołania do Komisji Orzecznictwa ds. Wykroczeń przy Wojewodzie.

Z JAKĄ zatem mamy do czynienia instytucją? Kolegia do spraw wykroczeń, tak jak cały polski system wymiaru sprawiedliwości, posiadają poważne luki.

„Ideę powołania kolegiów uważam za całkowicie słuszną — twierdzi przewodniczący kolegium wojewódzkiego, Roman Omiotek. — Należy jej tylko przywrócić zdroworozsądkowe wartości. Kłopot polega na tym, iż kolegia nie koncentrują się dziś na tym, do czego zostały powołane".

Można się zgodzić. Ściganie drobnych pijaczków, żulików i chuliganów to — jak mnie przekonuje długoletni orzekający — „niewyjęta działka milicji" (wystarczyłyby tu zwykłe mandaty, równie skutecznie wzbogacające miejską kasę). Podobnie ekshibicjonistami powinny się zająć instytucje zdrowia psychicznego, a kradzieżami i przestępstwami drogowymi pod wpływem alkoholu — sądy (sądy powinny rozpatrywać także wszystkie sprawy zagrożone karą aresztu). Obibokami i nierobami powinna się zajmować administracja, wypłacając im zasiłki dla bezrobotnych, bądź kierując ich do robót publicznych (na marginesie — co zrobić z niepracującymi kobietami, pozostającymi na utrzymaniu męża?). Spekulanci to sprawa rynku, zaś opozycję należałoby wpisać w polityczną mapę kraju, a nie ścigać za składanie kwiatów w dniu 11 listopada.

Tak „wyprostowane" kolegia byłyby jeszcze w stanie utrzymać swój społeczny charakter. Powinny zajmować się one wyłącznie wygaszaniem konfliktów grupowych (brak tej instytucji na wsiach to kolejny bodziec napędowy polskiego sądowego pieniactwa), tropieniem naruszeń prawa administracyjnego i lokalowego, karaniem przestępstw ekologicznych, ochroną norm obyczajowych — tym wszystkim zatem, co reguluje postawy społeczne jednostki.

Telewizyjny program „Osądźmy sami" niejednokrotnie udowodnił przewagę ludzkiej wrażliwości nad suchą literą prawa. Kolegia do spraw wykroczeń nie muszą być skazą na naszym życiu publicznym. Dziś stanowią jeszcze jeden przykład pomieszania pojęć i kompetencji, jawiąc się jako instytucja ułomna, kaleka bądź nijaka. Nikogo nie odstraszają, nikogo nie wychowują, niczego nie regulują.

Na razie kolegia po prostu są. Sprawa w tym, aby jasno i precyzyjnie określić — czym. Zapewne nie jest prawdziwa opinia, że kolegia to skrzyżowanie sądu polowego z wesołym miasteczkiem, daleko im jednak do zakładanej funkcji, wiązanej z ludowością systemu oraz jego humanitarną, ojcowską wyrozumiałością.

JAN PAWEŁ II W MEDALIERSTWIE

Henryk Wojtulewicz

W MUZEUM Lubelskim na Zamku czynna jest jeszcze wystawa, zorganizowana z okazji 10 rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II. Ekspozycja prezentuje blisko 230 medali bitych i lanych, pochodzących z bogatych zbiorów Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu.

Autorami tych prac są wybitni polscy artyści medalierzy, jak Bronisław Chromy, Edward Gorol, Jerzy Jarnuszkiewicz, Witold Korski, Antoni Kostrzewa, Andrzej Kołaczyński, Zbigniew Łukowiak, Ewa Olszewska-Borys, Józef Markiewicz-Nieszcz, Katarzyna Piskorska, Hanna Roszkiewicz, Jolanta Słomianowska, Józef Stasiński, Stanisław Sikora, Stanisława Wątróbska i wielu innych. Z artystów obcych wyróżniają się prace: Luigi Teruggiego, Hansa Bükela, Gabrala Antunesa, Marcelino Noetede Almeida, Gudo Veroiego, Enrico Manfriniego i innych.

Wystawa podzielona jest na pięć działów. Pierwsza część zestawia medale poświęcone czasom kardynała Karola Wojtyły w okresie jego pobytu w Krakowie. Następne trzy części dedykowane są pielgrzymkom Ojca Świętego do Ojczyzny w latach 1979, 1983 i 1987. Dział ostatni pokazuje prace wydawane na cześć Jana Pawła II w okresie jego licznych pielgrzymek do różnych krajów i kontynentów.

Głównym wyobrażeniem awersów prezentowanych na wystawie medali jest oczywiście postać papieża, rytowana w różnych formach. Najczęściej Ojciec Święty występuje na medalach w mitrze oraz z papieskim pastorałem zakończonym krzyżem z postacią Chrystusa.

Znacznie bogatsze w treści są rewersy medali. Widnieją na nich wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, herb papieski, świątynie, które papież odwiedzał, herby miast, wizerunki św. Wojciecha, św. Stanisława, Maksymiliana Marii Kolbego, błogosławionej Edyty Stein i Ruperta Majera. Bardzo często pojawiają się na rewersach napisy, jak: GAUDE MATER POLONIAE, QUO VADIS DOMINE, TOTUS TUUS lub fragmenty cytowane z wydanych encyklik i wygłoszonych homilii.

Większość prac prezentuje wysoki poziom artystyczny. Na szczególną uwagę zasługują medale Chromego, Kostrzewy, Korskiego, Olszewskiej-Borys, Piskorskiej, Stasińskiego i Wątróbskiej.

Swego rodzaju ewenementem jest seria medali wykonana przez wybitnego medaliera poznańskiego J. Stasińskiego, który stworzył 10 medali — niezależnie od innych prac — poświęconych każdej rocznicy pontyfikatu papieża. Awersy ich przedstawiają Ojca Świętego zawsze w odmiennej postaci, rewersy zaś dotyczą ważnego wydarzenia danego roku pontyfikatu. Szczególnie wymowny jest medal z 1981 roku z trzeciej rocznicy, dotyczący zamachu na życie papieża. Wszystkie prace wykonane są techniką lania i emitowane w kilku egzemplarzach.

Jan Paweł II — 600 lat obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze, 1983 r.; brąz, bity.
Fot. Piotr Maciuk

Z dzieł obcych trzeba wymienić medal poświęcony pielgrzymce papieża do Fatimy w 1983 roku, gdzie Ojciec św. dziękował Matce Bożej za cudowne ocalenie. Medal projektował G. Hansing. Jedyny egzemplarz tego medalu przekazał Jan Paweł II w czasie pobytu we Wrocławiu na ręce wojewody wrocławskiego, który potem ofiarował medal do zbiorów Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu.

Medale zaprezentowane na wystawie lubelskiej, tak bite, jak i lane, posiadają nie tylko walory artystyczne, ale i dokumentacyjne. Wizerunki Ojca św. są znakomitymi studiami portretowymi, zaś rewersy dotyczą konkretnych wydarzeń, związanych z bogatą i wszechstronną działalnością Jana Pawła II nie tylko na polu religii i wiary, ale i na polu międzynarodowym w podnoszeniu problemu pokoju, pojednania, miłości między ludźmi, dialogu i porozumienia.

Organizatorzy wystawy zachęcają do zwiedzenia ekspozycji, która dzięki uprzejmości dyrekcji Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu czynna będzie do końca lutego 1989 r.

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA ? (4)

CZY ISTNIAŁY SZANSE UNIKNIĘCIA DRASTYCZNYCH ROZWIĄZAŃ?

Janusz Wrona

„MOJE subiektywne wrażenia — kontynuował Leon Chajn, rozważania o ówczesnej sytuacji politycznej w Polsce — mój osobisty stosunek do niektórych z tych zjawisk jest taki: otóż odniosłem wrażenie, że PPR-owcy, AL-owcy, którzy byli w kraju i bezpośrednio walczyli z AK, mieli do tego AK bardziej wrogi stosunek, aniżeli ci, którzy przyjechali z Moskwy i nie byli bezpośrednimi uczestnikami tych wydarzeń". Ta refleksja L. Chajna spotkała się z ripostą historyka Norberta Kołomejczyka: „Wygłaszacie tu herezje, bo towarzysze tzw. krajowi twierdzą wręcz coś innego". Nie zmieniło to opinii L. Chajna: „Ja jestem jednym z tych, którzy wrócili ze wschodu, i dla mnie problem AK nigdy nie był tak ostry jak u AL-owców, a często rozmawiałem z rozmitymi ludźmi. To nie jest tylko mój pogląd. Zresztą z psychologicznego punktu widzenia jest to zrozumiałe. [...] Według mnie, linia podziału przebiegała między tymi, którzy bezpośrednio byli zaangażowani w tę walkę i tymi, którzy byli tylko obserwatorami. Ale mam wrażenie, że istotne znaczenie miały wtedy naciski Moskwy, i to różnego rodzaju. Te naciski szły z dwóch stron ze Związku Radzieckiego i do Związku Radzieckiego".

Zaprezentowana opinia zmusza do postawienia kilku zasadniczych pytań. Czy kwestia AK była wynikiem stosunku tej lub innej grupy komunistów do głównej siły militarnej i politycznej z okresu okupacji, czy też była zdeterminowana przez politykę Stalina względem Polski? Kiedy pojawił się problem AK? W październiku 1944 r., jak utrzymuje się w literaturze, gdy ukazały się symboliczne już afisze z napisem: „Armia Krajowa — zapluty karzeł reakcji", czy może dwa miesiące wcześniej? Czy istniały szanse na uniknięcie drastyczych rozwiązań w stosunku do AK?

Próba odpowiedzi na postawione pytanie wymaga przypomnienia paru wydarzeń związanych z powstaniem i funkcjonowaniem PKWN.

Kilka dni po ukonstytuowaniu się tego organu, 26 lipca 1944 r. podpisano w Moskwie porozumienie regulujące stosunki między naczelnym dowództwem Armii Czerwonej a polską administracją. Artykuł pierwszy tego dokumentu głosił, że w strefie działań wojennych na terytorium Polski władza najwyższa i odpowiedzialność we wszystkich sprawach dotyczących prowadzenia wojny, na okres niezbędny dla przeprowadzenia operacji wojennych, koncentruje się w ręku wodza naczelnego Armii Czerwonej, czyli J. Stalina.

W siódmym artykule porozumienia poddawano pod jurysdykcję Stalina przestępstwa przeciwko wojskom radzieckim „popełnione w strefie operacji wojennych". Za takowe „przestępstwo" uznały władze radzieckie realizację planu „Burza", którego założenia stwierdzały, że „należy dążyć do tego, aby naprzeciw wkraczającym oddziałom sowieckim wyszedł polski dowódca mający za sobą bój z Niemcami". Miał on wystąpić w roli gospodarza terenu. Tymczasem ZSRR nie uznawał rządu RP w Londynie (od kwietnia 1943 r.) oraz jego struktur cywilnych i wojskowych na terenie kraju. Dysponentem władzy na ziemiach polskich miał być w koncepcjach Stalina — PKWN.

Realizacja planu „Burza" na Wileńszczyźnie zakończyła się niepowodzeniem. Sytuację Polaków w Wilnie, związanych z AK, przedstawiała na początku września 1944 r. w poufnym raporcie do B. Bieruta kpt. Irena Sztachelska:

„[...] Armia Krajowa powiększyła się na terenie Wilna, w ciągu ostatnich trzech tygodni przed oswobodzeniem Wilna, dzięki rozkazom przedstawicieli Londynu, aby czynnie współpracować z Czerwoną Armią i wziąć udział w walkach o Wilno. Do Armii Krajowej w dniach walki o Wilno poszła moc młodzieży chłopskiej, inteligenckiej i robotniczej [...]. Walczyli z dużym poświęceniem. Przez około dwa dni pełnili służbę w milicji z biało-czerwonymi opaskami. Później władze wojskowe kazały im opuścić Wilno. Dowództwo otrzymało propozycję wstąpienia do Armii Czerwonej albo Polskiej, jakoby odmówiło. Wtedy całe dowództwo (na bankiecie u władz wojskowych) zostało aresztowane. Żołnierze i oficerowie zostali internowani w obozie w Miednikach. Z Armii Polskiej przyjechał w tym czasie do Wilna płk Soroka-Wiżniowiecki, który przyjechał do obozu internowanych AK i proponował wstąpienie do »Zbrojnych Sił Polskich« (płk Soroka jest Polakiem radzieckim i źle mówi po polsku). Żołnierze i oficerowie AK zbiorowo odmówili, żądając wypuszczenia dowództwa i motywując, że złożyli przysięgę [...]. Wtedy oficerów osadzono w więzieniu na Łukiszkach, a żołnierzy wywieziono do obozu w Kałudze, gdzie jak widać z ich listów, częściowo ćwiczą pod dowództwem oficerów Armii Czerwonej, a częściowo są używani na roboty. Ponieważ AK była ostatnio bardzo masową organizacją, internowanie AK i wywiezienie jej w głąb Rosji wywarło wielkie rozgoryczenie w społeczeństwie wileńskim".

Dwa miesiące później, 3 października 1944 r. I. Sztachelska raportowała PKWN na temat obozu w Kałudze: „Obecnie przychodzą stamtąd niepokojące wiadomości o pogarszaniu się warunków życia internowanych. Zostali rozbrojeni i są grupowo wysyłani na ciężkie roboty. Podobno wielu z nich zgłasza się do Wojska Polskiego, ale otrzymują odpowiedź, że już za późno".

Ocenę sytuacji Polaków we Lwowie — po wyzwoleniu miasta przez Armię Czerwoną, z która współdziałała AK — przedstawił PKWN dr Józef Gajka w znamiennym stwierdzeniu: „W tym właśnie czasie władze radzieckie nawiązały we wszystkich dziedzinach do stanu z roku 1941 co podcięło możliwości współpracy". Rozpoczęły się aresztowania „za przynależność do prac konspiracyjnych w okresie okupacji".

Lubelszczyzna jako pierwsza miała realizować plan „Burza" na obszarze wyłącznie polskim pod względem etnicznym. W Lublinie i miastach powiatowych ujawniły się organa Delegatury Rządu RP i AK, które przejmowały władzę. Podobnie było w Białymstoku i Rzeszowie.

W przyszłej stolicy PKWN nastąpiło to 25 lipca 1944 r. wraz z pojawieniem się urzędowych obwieszczeń Delegata Rządu RP na województwo lubelskie, Władysława Cholewy (w konspiracji Łukasza Paśnika), przedstawiciela Stronnictwa Ludowego „Roch". Jednocześnie ujawniła się Komenda Okręgu AK z płk. Kazimierzem Tumidajskim.

Jaką koncepcję ustrojową prezentowali przedstawiciele rządu RP w Londynie? Najpełniej wyrażała ją Deklaracja Rady Jedności Narodowej (odpowiednik podziemnego parlamentu obozu londyńskiego) z 15 marca 1944 r. pt. „O co walczy Naród Polski".

Według tej koncepcji granice państwa na wschodzie miały opierać się na traktacie ryskim; na zachodzie winny zostać przesunięte poprzez włączenie Prus wschodnich, Gdańska, ziemi między Notecią a Wartą, Śląska Opolskiego. Podstawą wytyczenia granicy z Czechosłowacją miał być układ z 5 października 1918 r.

Ustrój polityczny odrodzonej Polski oprzeć się powinien na „systemie demokracji parlamentarnej przy działaniu silnych rządów". Planowano szybkie wybory, zdemokratyzowanie ordynacji wyborczej, zmianę konstytucji kwietniowej. Nowa ustawa zasadnicza miała sformułować „zasady wszechstronnej wolności obywatelskiej, swobody religii, sumienia, przekonań politycznych, przy równości obowiązków i niezależności wymiaru sprawiedliwości".

Główne ugrupowania polityczne obozu londyńskiego akceptowały potrzebę przebudowy struktury społeczno-gospodarczej kraju, tj.: uspołecznienia kluczowych przemysłów, reformę rolną, planowanie gospodarcze, rozwój świadczeń społecznych, odbudowę i rozbudowę kultury i szkolnictwa.

Stanowisko radzieckie i przedstawicieli PKWN wobec zaistniałej w Lublinie dwuwładzy opisał w swoich wspomnieniach zastępca Okręgowego Delegata Rządu RP, Aleksy Bień, działacz PPS:

„W czwartym dniu urzędowania delegat Cholewa i komendant AK »Marcin« (płk K. Tumidajski — przyp. J.W.) zostali przez radzieckiego oficera zaproszeni do Chełma na rozmowy z dowództwem armii i PKWN-em. PKWN zażądał od Cholewy i »Marcina« podporządkowania się lub rozwiązania. Cholewa i »Marcin« odpowiedzieli, że bez polecenia swych władz z Warszawy tego zrobić nie mogą". Ostatecznie K. Tumidajski zapowiedział rozbrojenie podległych sobie oddziałów. „Doszło do tego wieczorem 28 VII — pisze I. Caban w książce »Lublin, lipiec 44« — Oddziały AK w liczbie ponad 1000 ludzi złożyły broń w ręce władz sowieckich".

„Po upływie 24 godzin wspomina A. Bień — jeszcze raz do radzieckiej komendy wojskowej zawezwano pułkownika »Marcina«, później delegata Cholewę; aresztowano ich z powodu tego, że część podległych im oddziałów nie złożyła broni lub rozpoczęła jej przechowywanie i zakopywanie w ziemi. W następne noce i dni w całej Lubelszczyźnie NKWD rozpoczęło masowe aresztowania członków delegatury, działaczy politycznych, AK-owców i BCh-owców — wywożąc ich do obozów w Związku Radzieckim".

Tak więc akcja „Burza" na Lubelszczyźnie i w Rzeszowskiem skończyła się podobnie jak na Wileńszczyźnie. Po wspólnych z Armią Czerwoną walkach z Niemcami, oddziały AK były rozbrajane i internowane. Żołnierzom proponowano wstąpienie do Wojska Polskiego bądź ich aresztowano. Likwidowano również aparat administracyjny Delegatury.

Nowy komendant Lubelskiego Okręgu AK w swym meldunku do KG AK w Warszawie z 19 sierpnia 1944 r. raportował m. in.: „Masowe aresztowania żołnierzy AK przeprowadzane są na całym terenie Okręgu przez NKWD i tolerowane przez PKWN. Aresztowanych osadza się na Majdanku. Znajdują się tam sztaby 3 i 9-tej dywizji piechoty z gen. »Halką«, około 200 oficerów i podoficerów oraz 2 i pół tysiąca szeregowych [...]. Straty ponoszone przez naród i AK nie są mniejsze jak podczas okupacji niemieckiej. Traktowanie złe — niejednokrotnie stosuje się bicie. Płacimy już nawet krwią".

Aresztowania prowadziły specjalne formacje NKWD, które nazywały się oficjalnie „Wojskami NKWD Ochrony Tyłów". Znajdowały się one na bezpośrednim zapleczu frontu. Całością akcji na ziemiach polskich dowodził generał Iwan Sierow, szef struktur kontrwywiadu w strefie przyfrontowej i na tyłach. PKWN-owski aparat represji znajdował się dopiero w stanie organizacji i nie był zdolny w tym czasie do realizacji zadań w tak dużej skali.

Rozmiar represji przeciwko AK w ich pierwszej fazie, tj. w okresie lipca, sierpnia i września 1944 r., jest niezwykle trudny do określenia. Istnieją szacunki w odniesieniu do całego 1944 r. Według informacji gen. L. Okulickiego, podanej na posiedzeniu RJN, aresztowania objęły 30 tysięcy żołnierzy AK. Ilu z nich deportowano do ZSRR? W materiałach B. Bieruta znajduje się informacja ambasady RP w Moskwie, jakoby w nocie W. Mołotowa zawiadomiono o 12 500 zatrzymanych i wywiezionych w 1944 r. z terenu Polski.

Na biurku prezydenta Bieruta znalazł się jesienią 1947 r. spis obywateli polskich internowanych do dn. 6.7.1947 r. w obozie w Diagilewie (okręg Riazań), pochodzących z terenu Lublina, których los po wywiezieniu z obozu w czerwcu 1947 r. był rodzinom nie znany. „O powrót do kraju tych obywateli polskich proszą Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej matki, żony, córki i siostry internowanych" — pisano w dokumencie.

Spis zawierał sto nazwisk mężczyzn. Dominowała grupa w przedziale wieku 30—50 lat. Najstarszy miał w chwili aresztowania 66 lat, najmłodszy 19 lat. Daty internowania wyraźnie wskazują iż 73 osoby zostały aresztowane i wywiezione w sierpniu 1944 r. Oznacza to potwierdzenie tezy, iż kulminacyjna faza uderzenia NKWD przypadła na ten miesiąc.

W obozie w Diagilewie osadzono także aresztowanych przedstawicieli Delegatury i Komendy Okręgu AK z Lublina. Żony uwięzionych skierowały na ręce Bieruta prośbę o podjęcie działań w celu ich uwolnienia. Droga do obozu wiodła przez więzienia w Moskwie i Charkowie. W Diagilewie znaleźli się 29 grudnia 1945 r. Po dwuletnim pobycie w obozie powrócił do kraju W. Cholewa. Komendant lubelskiego Okręgu AK K. Tumidajski zmarł 4 lipca 1947 r. w więziennym szpitalu w Skopino przy zabiegach przymusowego odżywiania, mającego przerwać jego protestacyjną głodówkę.

Latem 1944 r. dowództwo Armii Krajowej i władze wojskowe w Londynie nadal konsekwentnie wykluczały zbrojny opór przeciw Armii Czerwonej. „Byłoby to szaleństwem — pisze Krystyna Kersten — obszar między Bugiem a Wisłą był nasycony wojskiem w rzadko w dziejach wojen spotykanym stopniu. Kwaterowało tu prawie dwa miliony żołnierzy 1, 2, 3 Frontu Białoruskiego oraz 1 i 4 Frontu Ukraińskiego, nie licząc Wojska Polskiego. Na kilometr kwadratowy przypadało 35 żołnierzy". Realne działania AK obejmowały agitację polityczną skierowaną przeciwko PKWN, przeciwstawianie się mobilizacji, głoszeniu bojkotu świadczeń rzeczowych i konfiskat, obowiązujących na mocy dekretu PKWN z 17 sierpnia 1944 r.

Czy istniała możliwość znalezienia kompromisu między PKWN a niektórymi ogniwami Delegatury w sierpniu — wrześniu 1944 r.?

Okazało się, że dramatyczny rozwój wydarzeń spowodował podjęcie po obu stronach inicjatyw, które mogły przynieść takie rozwiązanie. O tym nie znanym w literaturze historycznej epizodzie wspomina Aleksy Bień:

„Ludowcy, pozbawieni swego kierownictwa, skupili się wokół mnie [...], na wspólnych naradach naradzali się ze mną, omawiali sposoby powstrzymania walk bratobójczych. Również pułkownik »Wir« (ocalały szef sztabu AK Franciszek Żak — J. W.) ustalał ze mną sposoby uspokojenia rozbudzonych namiętności wśród akowców. Wraz z ludowcami szukaliśmy kontaktów z poszczególnymi członkami PKWN dla pacyfikacji stosunków na Lubelszczyźnie. Ludowcy nawiązali kontakt z członkiem PKWN Witosem, ja bez ujawniania się, za pośrednictwem członka naszej partii Kempy — który poprzez Stefana Matuszewskiego docierał do Osóbki-Morawskiego — szukałem wyjścia z tragicznej sytuacji [...]. Być może z mojej strony było to naiwne, lecz [...] spróbowałem wysunąć w imieniu ludności wyzwolonej części kraju koncepcję pogodzenia »Londynu« z PKWN-em".

A. Bień pisze, że koncepcję powołania kompromisowego rządu w Polsce (Rządu Obrony Narodowej) opracował wspólnie z Kempą (Albinem Rozencwajgiem). Zaaprobowali ją ludowcy, „jak i pułkownik »Wir« z małym zastrzeżeniem, że powinno się sprecyzować ściślej, kto ma być naczelnym dowódcą WP". Przez Stefana Matuszewskiego projekt miał dotrzeć do przewodniczącego PKWN Edwarda Osóbki-Morawskiego, „który podobno ustosunkował się doń przychylnie, wyrażając zgodę na pertraktacje na tej płaszczyźnie z nami".

Propozycje „Lubelskiej Delegatury" jak je źródłowo określono — znane były także niektórym członkom kierownictwa PPR. Na pewno studiował je Jakub Berman. Płaszczyzna proponowanego kompromisu między obozem londyńskim w kraju a nowym ośrodkiem władzy, kierowanym przez komunistów i popieranym przez ZSRR, przedstawiona zostanie w kolejnym odcinku.

SPROSTOWANIE

W drugim odcinku mylnie została podana data założenia Związku Patriotów Polskich, który powstał oczywiście w 1943 r.

(Red.)

LUBELSKA GRAFIKA ROKU

Violetta Krasnowska

To była już czwarta edycja konkursu pod nazwą GRAFIKA ROKU, któremu od początku patronuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Jak wynika z komunikatu jury, oceniało ono 109 prac 33 autorów, zaś nagrody i wyróżnienia przyznało 23 twórcom. Laureatami I nagrody ex-aequo zostali: Marek Piątkowski za zestaw prac wykonanych w technice mieszanej pt. „Chusta I", „Chusta II" i „Chusta III" oraz Stanisław Bałdyga za grafikę „Przenikanie smugi II". Drugiej nagrody nie przyznano. Trzecią natomiast otrzymał Piotr Kmieć za rysunek „Transfiguracje". Grzegorz Mazurek, autor linorytu „Wszyscy moi przyjaciele VI", uhonorowany został nagrodą ufundowaną przez prezydenta miasta Lublina, zaś Andrzej Cyprian Bielaniec za rysunek ołówkiem „ABC VI" otrzymał nagrodę lubelskiego oddziału „Sztuki Polskiej".

Tyle werdykt. Natomiast o samym konkursie najlepiej opowiada, będąca rzec pokłosiem, wystawa w Małej Galerii Grafiki (Muzeum Literackie im. Czechowicza przy ul. Narutowicza 10). Z satysfakcją donoszę, że nie ma tu prac niestarannych czy zdradzających kłopoty warsztatowe autora. Wręcz przeciwnie, uznanie budzi dobry i bardzo dobry poziom, zaskakuje różnorodność podejmowanych tematów, rozpiętość autorskich emocji, no i wreszcie wielorakość stosowanych technik.

A przecież w poprzednich latach bywało z tym różnie, czasami wręcz żenująco.

W kuluarowych rozmowach podczas otwarcia wystawy (19 bm.) powiadano: coraz bardziej dojrzałym staje się środowisko; procentuje idea Zbiorczej Pracowni Graficznej, będącej miejscem pracy, ale także prowadzenia dyskusji, której wynikiem bywają ciekawe pomysły. Ponoć nie bez znaczenia był też fakt zaproszenia — po raz pierwszy — do składu jury grafików spoza naszego regionu. Anna Jelonek-Socha i Andrzej Kalina z Warszawy oraz Jerzy Mazuś z Płocka to tuzy, przed którymi nie wypadało skompromitować się. Oni też zadbali o dobór prac na wystawę, konsekwentnie stawiając na indywidualność artystyczną i warsztat.

Nie przesądzając w tym miejscu, co zaważyło najbardziej — pragnę już tylko wystawę GRAFIKA ROKU '88 polecić czytającym te słowa i powtórzyć za Maksymilianem Snochem, znanym lubelskim grafikiem: „Czas już wyzbyć się kompleksów prowincji i przeć naprzód..."

STYCZEŃ W FILHARMONII LUBELSKIEJ

Teresa Księska

Mogło być śnieżnie, ale nie było. Mogło być klasycznie, a stało się wprost przeciwnie: na przestrzeni miesiąca w filharmonii każdy, dla kogo muzyka coś znaczy, mógł „wpaść" na wybrane dwie godziny i po prostu pofetować odświętnie i w dobrym stylu.

Zaczęło się od kolęd, wieczoru z Krakowskim Chórem Kameralnym pod dyrekcją Stanisława Krawczyńskiego i słowem towarzyszącym Stefana Müncha, już 7 stycznia. Wielkie formy, wielcy wykonawcy — taki podtytuł mogły mieć kolejne wieczory w filharmonii (13, 14) z udziałem Piotra Palecznego i lubelskich filharmoników pod dyrekcją Adama Natanka. Program: V Koncert ES-dur „IMPERIOR" L. van Beethovena i dwie Suity — op. 46 i 55 wg dramatu H. Ibsena „Peer Gynt" E. Griega.

Z czułości dla tego, co nie rzuca się w oczy, ale swoim skromnym pięknem może sprawić szczególną radość, zrodziła się gra poza uniformem struktur i konwencji wykonawczej. Paleczny i Natanek znaleźli swój własny klucz do najintymniejszego ze światów. Zaistniało twórcze współdziałanie, rzadki moment wzajemnego uniesienia, bez słów i zbędnych gestów. Z kolei baśniowy świat romantycznych zdarzeń wyczarowała muzyka Griega. Bez pośpiechu, z kulturą i swoistym dystansem do historycznych wynaturzeń w przekazie tego osobliwego dzieła, filharmonicy po prostu „wykonali" to, co w naturalny sposób wynikało z partytury. A więc: promienną jasność „Poranka", wzruszającą scenę śmierci Azy, dwa egzotyczne tańce oraz, „skrojone" z epickim rozmachem, „Porwanie narzeczonej. Skarga Ingridy" i „Powrót Peer Gynta". Efektowny finał I Suity — „W grocie króla gór" — „przebiła" ostatnia część kolejnej Suity, ulubiona przez melomanów całego chyba świata, przepiękna w swej surowej melodyce „Pieśń Solwejgi". (Muzyczny obraz doskonałej miłości).

Bajka „Piotruś i wilk" S. Prokofiewa miała aż 5 przedstawień w ciągu trzech dni i jeszcze było mało. Wystąpiła w niej znana śpiewaczka, Danuta Damięcka (prześliczne bajkowe piosenki!), pianista, Mieczysław Dawidowicz i telewizyjna para, lubiana przez wszystkich od lat 3 do..., czyli państwo Hanna i Antoni Gucwińscy. Wespół z lubelskimi filharmonikami pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego wspaniałą, dziecięcą widownię bawił Henryk Gonda, aktor Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Czy jest coś piękniejszego nad uśmiech dziecka? Jest! Niesterowany, niekontrolowany śmiech wielu dzieci.

W bogatym, zróżnicowanym zestawie styczniowych koncertów nie zabrakło także operetki. Któż nie zna „Wilii", duetu „Usta milczą, dusza śpiewa"! Gdyby jakiś zły los unicestwił pozostałe fragmenty „Wesołej wdówki" i tak talent F. Lehara poznałby cały świat. (Podobnie jak Zdenka Fibicha za niewątpliwie udany „Poemat"). Niemniej Lehar popełnił jeszcze kilkanaście operetek, dając dowód nieprzeciętnej inwencji i, co tu dużo mówić, po prostu łatwości pisania. W lubelskim, estradowym przedstawieniu wystąpili: Delfina Ambroziak, Tadeusz Kopacki, Sylwia Maszewska, Jan Kunert i Stefan Münch jako narrator. Grała orkiestra filharmonii pod dyrekcją Kazimierza Kryzy. Brzmiało nieźle, jakkolwiek operetka pozbawiona specyficznego — właściwego jej — klimatu i scenerii nie dla wszystkich zachowuje swój umowny urok i wdzięk. Bawić się można, a nawet należy, byle ze smakiem. Ceny umowne wystarczą, po co jeszcze intonacja, dykcja...

Ostatni z filharmonicznych wieczorów, niedzielny, dostarczył miłych wrażeń miłośnikom śpiewu. Wystąpili: Elżbieta Bagińska-Rydzak (sopran) z towarzyszącą przy fortepianie Teresą Księską (tak się złożyło) oraz Chór Mieszany z Lublina, „Collegium Musicum" pod dyrekcją Zofii Bernatowicz. Program chóralny wypełniły stylowe kompozycje renesansowe, barokowe i współczesne. Solistka wykonała rzadko prezentowane w naszym kraju cykle pieśni M. de Falli i E. Granadosa. Czym zwróciła uwagę? Przede wszystkim muzykalnością, pozwalającą na sugestywność wyrazu, kulturę frazowania i emisyjną samokontrolę. Także śpiewaniem w języku oryginału. (Czym jest to dla techniki wokalnej wie tylko ten, kto śpiewa).

Zofia Bernatowicz i jej nowy zespół wypadli zachęcająco. Świadomość celów, dobra bieżąca praca pozostawiły wrażenie, że i dyrygentka i jej podopieczni mają właściwe założenia artystyczne, ku którym zresztą dążą pełni wiary i zapału. Czy potrzebne rady? Dla chcących ich słuchać — bardzo proszę, a więc: większe zróżnicowanie repertuaru (emisję rodzi nie tylko techniczna wiedza, ale przede wszystkim potrzeba określonych walorów sonorystycznych i dynamicznych), barwa głosu jest kwestią z gatunku słuchowych, wymaga więc dodatkowej troski i uwagi. Oczywiście należy poszerzyć skład męski. Ale ważne i cenne jest to, co już było i naprawdę zaistniało.

SPÓŁKA Z O.O. „CONTACT"

OFERUJE

— magnetowidy
— kamery video
— telewizory kolorowe (firm zachodnich)
— kasety video i magnetofonowe
— komplety kabli video
— kserokopiarki
— kalkulatory
— profesjonalny sprzęt fotograficzny
— sprzęt komputerowy
— radiomagnetofony, wieże i inny sprzęt audio.

JESTEŚMY W STANIE ZREALIZOWAĆ KAŻDE ZAMÓWIENIE
WYSTAWIAMY RACHUNKI
BIAŁA PODLASKA, ul. 1 Maja 1,
tel. 363-63, tlx 863432

454/K-5

Z KSIĘGARNI

DRAMAT

Samuel Beckett: „Dzieła dramatyczne", przekład i wstęp A. Libery, PIW; 1500 zł.

PROZA

George Orwell: „Folwark zwierzęcy", Wyd. Alfa; 280 zł. Jeszcze do niedawna „zakazana" w Polsce alegoryczna powieść, będąca wyrazem Orwellowskiej nienawiści do totalitaryzmu.

Aldous Huxley: „Nowy wspaniały świat", Wyd. Literackie; 540 zł. Legendarna już antyutopia pióra jednego z najwybitniejszych pisarzy bieżącego stulecia. Otrzymujemy ją z półwiecznym opóźnieniem.

Paweł Jasienica: „Ostatnia z rodu" ,Czytelnik; 550 zł. Rzecz o Annie Jagiellonce, pani cnót tak zacnych, że... tylko współczuć można było małżonkowi, Batoremu. Czy rzeczywiście?

Stanisław Lem: „Katar". Wyd. Literackie; 460 zł. Wznowienie.

BIOGRAFIE I MONOGRAFIE

Jerzy Besala: „Stanisław Żółkiewski", PIW; 1500 zł.

Zenon J. Michalski: „Siwy strzelca strój. Rzecz o Józefie Piłsudskim", KAW; 400 zł.

DOKUMENT

„Listopad 1918 we wspomnieniach i relacjach", Wyd. MON; 1100 zł.

Zdzisław Rym, „Cierpienie ma tysiąc twarzy. Jan Paweł II i chorzy". Wyd. Znak; 950 zł. Relacja i refleksje z międzynarodowej pielgrzymki chorych do Watykanu.

„Spotkanie Michaiła Gorbaczowa z przedstawicielami polskiej inteligencji". Książka i Wiedza; 230 zł.

Lies Groening: „Bezdźwięczny głos jednej klaszczącej dłoni", Iskry; 280 zł. Relacja autorki z kilkuletniego pobytu w jednym z japońskich klasztorów zen.

(z)

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

14.02 — 15.02 godz. 18: „Portret" Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.

Teatr Lalki i Aktora:

09.02 — 10.02 godz. 10, 12; 11.02 — 12.02 godz. 12: „Don Żan", anonim czeski, reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny:

11.02 — występ gościnny w Tarnowie. 13.02 godz. 18: „Kotka przemieniona w kobietę" oraz „Salon pana Wdęckiego" Offenbacha, reż. Lech Emfazy Stefański **(Dom Kultury LSM, ul. Wallenroda 4a)**, 14.02. — występ gościnny w Tarnobrzegu.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

09.02 godz. 10, 12: „Bajdurkowa szkoła" — spektakl dla dzieci w wykonaniu aktorów Teatru „Fraszka" z Warszawy **(ZPW „Biawena" — Dom Socjalny).**

W CHEŁMIE

15.02 godz. 13 — **I Liceum Ogólnokształcące**, godz. 17 — **sala lustrzana WDK**: „Scenariusz dla trzech aktorów" Bogusława Schaeffera w wykonaniu aktorów Zespołu Edukacji Teatralnej w Warszawie.

PLASTYKA

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa pokonkursowa pt. „Grafika Roku 88" (ul. Narutowicza 10, czynna do 15.02).

Muzeum na Zamku — wystawa medalierstwa poświęcona pontyfikatowi Jana Pawła II.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4, czynne do 18.02):

— wystawa rzeźby Jana Stanisława Wojciechowskiego

— wystawa rysunku Walentego Wróblewskiego.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby Zbigniewa Dudka.

Galeria „Labirynt" (ul. Grodzka 3) — wystawa instalacji Janusza Bałdygi pt. „90 st.".

Galeria PUSB (ul. Pogodna 36) — wystawa Bogusława Giercuszkiewicza i Marka Remiszewskiego pt. „Pejzaże liryczne", malarstwo i poezja.

Galeria TPSD (ul. Grodzka 32/34) — wystawa grafiki i ekslibrisu Romana Muchy.

Muzeum Wincentego Pola — wystawa pt. „Amor Patriae Nostra Lex — z Siecina Krasiccy herbu Rogala".

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

BWA — wystawa rzeźby „Hajnówka 88" (czynna do 12.02).

W CHEŁMIE

WDK (sala lustrzana).

— wystawa prac chełmskich plastyków (czynna do 12.02)
— wystawa malarstwa i rzeźby pracowni Domu Kultury Kolejarza.

WDK (kawiarnia, czynna do 15.02) — wystawa fotografii artystycznej Ryszarda Karczmarskiego.

W ZAMOŚCIU

Arsenał (ul. Zamkowa 2):
— wystawa militariów, pamiątek i dokumentów z lat 1914—1918 pt. „Rok 1918 w Zamościu"
— wystawa pt. „Pocztówka zamojska"

BWA — wystawa pt. „Dziecko w medalierstwie".

Galeria Sztuki Współczesnej — 10.02 godz. 17: otwarcie wystawy malarstwa Romy Polańskiej.

A. W.

TV

CZWARTEK
9 lutego

PROGRAM I

8.25 Domator: Nasza poczta.
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Pilsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów" (7) — serial prod. nowozelandzkiej
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Dempsey i Makepeace na tropie" — serial prod. ang.
11.00 Domator: To się może przydać
11.30 Encyklopedia zakopiańska
11.40 Domator: Kładziemy boazerię (3)
16.05 Program dnia, Dt — wiadomości
17.05 Lekarze gleb — reportaż
16.25 Teleferie. Teatr dla dzieci: Jerzy Afanasjew — „Latający wiatrak"
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon
17.50 „Rejs do Inari" — film dok. Ryszarda Wyrzykowskiego
18.20 Sonda. Koralowy kontynent
18.50 Dobranoc: „Pająk Chwat wszystkich brat"
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie": „Afera budowlana" — serial prod. ang.
20.55 Pegaz
21.45 Remanent w rozrywce (2)
22.30 Polityka, politycy — Javier Peres de Cuellar
23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język francuski (15)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (15)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd — Candice Bergen
19.30 Puls — mag. medyczny
20.00 Zza kulis festiwalu — Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych
20.20 Pod wspólnym dachem — śpiewa Andrzej Sikorowski
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Marek Hłasko — „Namiętności"
22.20 Leningradzki balet na lodzie
22.40 Komentarz dnia
22.45 — 22.55 Pierwsza Polka w „Playboyu"

PIĄTEK
10 lutego

PROGRAM I

8.25 Domator
8.40 Dzień dobry przedszkolaku
9.00 Teleferie na Pilsku
9.35 Kino Teleferii: „Tajemnica wygasłych wulkanów" — odc. 8 (ostatni), serial prod. nowozelandz.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Na czołgowym poligonie" (1) — film fab. prod. ZSRR
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszechnica budowlana
16.25 Teleferie. Teatr dla dzieci: Hanna Januszewska — „Flisak i Przydróżka"
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny informator wydawniczy
17.50 „Ja, który mam podwójne życie..., czyli dylemat Josepha Conrada" (1) — tryptyk fab.-dok. L. Smolińskiej i M. Sroki
18.50 Dobranoc: „Sąsiedzi"
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Anna tysiąca dni" — film prod. ang.
22.25 Czas — mag. publ.
22.55 Jutro w programie
23.00 Dt — echa dnia
23.15 — 0.20 Świat jaki jest: „Przerwana tęcza" — film dok. prod. USA

PROGRAM II

16.55 Język angielski (45)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" — odc. 6 pt. „Ciąża" — serial fab. TVP
19.30 Dookoła świata: Wśród miłośników kultury Indian
20.00 Spotkanie z Jackiem Skubikowskim
20.40 Zza kulis festiwalu: Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Perykles
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Sport: Halowe Mistrzostwa Polski w tenisie ziemnym
22.25 „Julia" — film fab. prod. USA. Reż. Fred Zinnemann, wyk.: Jane Fonda, Vanessa Redgrave, Jason Robards, Meryl Streep
0.15 Komentarz dnia

SOBOTA
11 lutego

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Wybuch będzie o piątej" — film fab. prod. CSRS
10.15 Kłamczucha i inni — wiersze dla dzieci
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Bellona — wojskowy mag. publ.
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Wędrówki dalekie i bliskie: „Stare zegary" — film dok. prod. węgierskiej
12.50 Telewizja prowincja
13.20 Telewizyjny Teatr Prozy: Antoni Czechow — Trzy opowiadania („Złoczyńca", „Drogi pies", „Narzeczony i ojczulek"). Reż. Georgij Towstonogow. Wyk.: Tadeusz Łomnicki, Mieczysław Pawlikowski, Andrzej Szenajch
14.15 Pieprz i wanilia. Nieznany kraj: „Tam gdzie rosną sekwoje" — film dok.
14.55 Komedie, komedie, komedie: „Sublokator"
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Butik
17.15 Teleexpress
17.30 „Ja, który mam podwójne życie..., czyli dylemat Josepha Conrada" (2)
18.40 Flesz
19.00 Dobranoc: „Wielka podróż Bolka i Lolka"
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Dzioby (1)
19.30 Dt
20.05 „Łowcy skalpów" — western prod. USA
21.45 Tydzień w polityce
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 Od Broadwayu do Champs Elysees — program baletowy
23.15 Dt — wiadomości
23.20 Jutro w programie
23.25 — 1.05 Klub filmowy: „Nosferatu — wampir" — film fab. prod. franc.-zachodnioniemieckiej

PROGRAM II

14.55 Powitanie
15.00 Małe kino: „Kraft Alexander Prinz zu Hohenlohe" — film dok. Wojciecha Iwańskiego
15.30 Studio Sport: Halowe Mistrzostwa Polski w tenisie ziemnym
16.20 Zespół Adwokacki „Dyskrecja": Żywioł powietrza
16.55 Legendy filmu: Klan Douglasów
18.00 TV Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.10 Jazz niekonwencjonalny
19.30 Tańczyć może każdy
20.00 Opowieść o symfonii Andre Previna: Piotr Czajkowski — program TV ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Raj odłożony na później" — odc 3 pt. „Titmusowie" — film prod. ang.
22.40 Komentarz dnia
22.45 — 23.15 „W labiryncie" — odc. 6 pt. „Ciąża" — serial prod. TVP (powtórzenie)

NIEDZIELA
12 lutego

PROGRAM I

7.15 Program dnia
7.20 Wszechnica rodziny wiejskiej
7.45 Po gospodarsku — mag. spraw wiejskich
8.15 Tydzień — magazyn rolniczy
8.55 Program dnia
9.00 Teleferie: Telekino Trójki i „Dumbo" — film animowany prod. USA
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „W krainach dzikich zwierząt" — film dok. prod. ZSRR
11.45 Kraj za miastem
12.15 Telewizyjny koncert życzeń
13.00 Marek Sierocki zaprasza
13.25 Teatr Młodego Widza: Kornel Makuszyński — „Skrzydlaty chłopiec" (1)
14.05 Morze — program publicystyczny
14.25 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program G. Lasoty. Filmy baletowe
15.05 „K kamiennym kręgu" — odc. 64 i 65 serialu prod. brazylijskiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Ja, który mam podwójne życie..., czyli dylemat Josepha Conrada" (3)
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Tylko Manhattan" (6) — serial prod. USA
21.00 Sportowa niedziela
22.00 Siedem dni na świecie
22.10 Magdalena z Kossaków (8): „Błękitna krew"
22.25 „Formiści polscy" — film dok. Grzegorza Dubowskiego
22.45 Wyniki Totalizatora Sportowego
22.50 Dt — wiadomości
22.55 Jutro w programie

PROGRAM II

9.45 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.20 „Tylko Manhattan" (6) — serial prod. USA (dla niesłyszących)
11.15 Peryskop
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Autostrada do nieba" (10) — serial przygodowy prod. USA
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy" — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Pierwszy raj" (4) — film dok. prod. ang.
15.35 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
15.50 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko"
16.30 Międzynarodowy Festiwal Chórów Chłopięcych: Koncert galowy
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Jubileusz Teatru Współczesnego we Wrocławiu
20.00 Studio Sport
21.00 Europa — spotkanie z prof. Marianem Dobrosielskim
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dyrektorzy" — odc. 6 pt. „Ryzykant" — serial TP
23.15 — 23.20 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK
13 lutego

PROGRAM I

16.00 Program dnia
16.05 Ferie, ferie — program publ.
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reklamy z prezentami
17.40 Echa stadionów: Piłkarska kadra czeka
18.30 Laboratorium
18.50 Dobranoc: „Piotruś Samochwała"
19.00 10 minut
19.10 Telespotkania
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji na Świecie: „Junona i Awos" (rock-opera) libretto — Andrzej Wozniesienski. Muzyka — Aleksiej Rybnikow, reż. Mark Zacharow
21.40 Dystans — program publ.
22.10 Gwiazdy jazzu — Phill Woods Quintet
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język niemiecki (15)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (15)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna. O polsko-angielskich stosunkach językowych
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne — Capella Bydgostiensis
20.00 „Dzień Janusza Trzebiatowskiego" — film dok. Andrzeja Gebera
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „John Osborne" — film prod. zachodnioniemiecko-ang.
22.45 Komentarz dnia

WTOREK
14 lutego

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Sprawy Mariany Pineda" (1) — film prod. hiszpańskiej
10.40 Domator. Rady na życzenie
16.00 Program dnia, Dt — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Tik-Tak, a w nim film „Cudowna podróż" (20) — serial prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 „Tajemniczy pan Duvallier" (4): „Napad na bank" — serial prod. franc.
18.30 Klinika zdrowego człowieka
18.50 Dobranoc: „Śniegowe skrzaty"
19.00 10 minut
19.10 Dollars only? — program publ.
19.30 Dt
20.05 „Sprawy Mariany Pineda" (1) — film prod. hiszpańskiej
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „R"
22.05 Zawsze po 21-szej
22.45 Dt — echa dnia
23.15 Język angielski (15)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (15)
17.25 Program dnia
17.30 „Wielka epoka" (7) — film dok. prod. włoskiej
18.00 Program lokalny
18.30 „Ostatnia droga komendanta Ponurego" — film dok. E. Cendrowskiej
19.30 Kolorowy zawrót głowy — mag. narciarski
20.00 Non stop kolor — magazyn
21.00 Na warsztacie historyka: profesor Karol Grundberg
21.30 Panorama dnia
21.45 Adaptacje opowiadań Guy de Maupassanta: „Ojciec i syn Hautot" — film prod. franc.
22.35 Komentarz dnia

ŚRODA
15 lutego

PROGRAM I

8.35 Domator. Nasza poczta.
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkania na lotnisku" (3): „Upalny dzień w Cojimar" — serial obycz. prod. NRD
10.30 Domator. Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.05 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
16.25 Scena TDC — korbielowskie tańce
16.50 Dla dzieci — Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX wieku
18.50 Dobranoc: „Miś Uszatek"
19.00 10 minut
19.10 Gra o milion
19.30 Dt
20.05 Zwierciadło czasu: „Kto potrzebuje staruszka" — film fab. prod. ZSRR
21.40 „W miłości najtrudniejszy jest początek" — widowisko poetycko-muzyczne
22.10 Rozmyślania prof. Mariana Stępnia
22.20 Klub międzynarodowy
22.50 Echa dnia
23.10 Język rosyjski (16)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (16)
17.25 Program dnia
17.30 „Świadectwo dojrzałości" — film dok. Antoniego Ciechana
18.00 TV Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — mag. reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznana — Lwów
19.45 Rewelacja miesiąca — śpiewa Luciano Pavarotti
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się": „Brudna sprawa" — serial krym. prod. TVP
22.45 Telewizja nocą
23.30 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 193. 27.01.1989 r. B-4

POLSKA NORMA

TOWARZYSZE BRONI

Waldemar Piasecki

W OSTATNIM czasie miałem do czynienia ze sprawami kombatanckimi. Od razu dodaję: z polskimi kombatantami zamieszkałymi po tamtej stronie Atlantyku i naszymi rodzimymi ze ZBoWiD-u. W jednym i drugim przypadku chodziło o tę samą broń: siły powietrzne.

Pierwsze spotkanie nastąpiło w Montrealu, gdzie kapitan dywizjonu 302 indagował mnie w polskiej restauracji „Cracovia" w związku z wywiadem, jakiego udzielił „Przeglądowi Tygodniowemu" generał Stanisław Maczek. Tekst ten był sporą sensacją, bowiem sędziwy dowódca konsekwentnie odmawiał dziennikarzom z Polski nie tylko wypowiedzi, ale nawet swego towarzystwa. Niezłomność 94-letniego bohatera miała rangę symbolu dla rozsianych po świecie polskich żołnierzy-tułaczy, weteranów II światowej.

Dla mego montrealskiego rozmówcy wywiad Maczka był szokiem, z którego nie mógł ochłonąć. Liczył się dlań sam fakt rozmowy, a nie jej treść. Bardziej to, że Maczek zdecydował się na publikowanie „u komuny", niż to, że powiedział, iż Polska była dla niego zawsze najważniejsza. Nie miało znaczenia, kto zasiadał akurat w gabinetach Belwederu czy na Nowym Świecie. On tych składów po prostu nie uznał, nie akceptował i nie przyjmował do wiadomości, ale nie mógł przecież nie przyjmować do wiadomości Polski jako narodu. W takim kontekście odebranie mu polskiego obywatelstwa nie było dlań represją doznaną od jego ojczyzny, a represją pochodzącą od jakiejś uzurpatorskiej grupy. Nie przyjął zatem do wiadomości, że ktoś odebrał mu coś, czego nie tylko mu nie dawał, ale do czego nie miał ani moralnego, ani patriotycznego tytułu. Podobną obojętność zachował generał — co było już tylko konsekwencją — gdy mu w epoce „wczesnego Gierka" polskie obywatelstwo „oddano". „Zawsze Polska" — powtarzał Maczek w wywiadzie, natomiast lotnik w Kanadzie powiadał mi: „Nigdy komuna".

Nie chodziło zresztą o samą semantykę. Postawa pilota niosła także konkretną treść. Odrzucił zaproszenie na rocznicę powstania dęblińskiej Szkoły Orląt, którą ukończył w 1937 roku, a która była mu i jest — jak mówił — „matką i kochanką zarazem". Ona stworzyła go bohaterem brytyjskiego nieba, a także dała mocne podstawy dla dalszej kariery życiowej, gdy zdecydował się nie wracać.

Wylewał więc kombatant swój żal serdeczny i „Wyborową", a ja nie potrafiłem powiedzieć mu nic co mogłoby ten stan zmienić. Choć próbowałem. Był porażony bólem nienawiści, wyhodowanej na stalinowskim nawozie polskiej rzeczywistości lat pięćdziesiątych.

Zupełnie niedawno znalazłem się w towarzystwie, w którym działacz ZBoWiD-u, emerytowany pułkownik lotnictwa, uczestnik II światowej w wersji wielkiej ojczyźnianej, również dzielił się żalem i kieliszkiem. Weteran uczestniczył w rocznicy szkoły dęblińskiej i wyniósł stamtąd niesmak.

Impreza była dobrze przygotowana, zaplanowana, a tu — masz ci los — nie sprawdzili się goście z Zachodu. Ci, którzy obrali ten kierunek życiowego lotu, a nie lądowanie w Warszawie (bardzo często zresztą wkrótce po Okęciu także na Rakowieckiej), traktowali ponoć swych kolegów-zbowidowców z dużym umiarem, by nie powiedzieć (jak to zrobił mój rozmówca): „per noga". A ci drudzy — odwrotnie! Z sercem, duszą na talerzu, z wolą szczerego pojednania kombatanckiego i pogaworzenia o „Jakach" i „Spitfire'ach". Nawet wspólnego odśpiewania: „Nasze »Jaki« tłuką »Foki« (od »Focke-Wulf«), obijają »Fokom« boki". Czekali na to, a tu nie wyszło.

Na to wyznanie pokiwałem głową. Nie dlatego, żebym był taki mądry. Były to ruchy karku raczej niewielkie i bardziej będące wynikiem zdziwienia niż oceny. U mego interlokutora nie wystąpił nawet cień refleksji co do motywów owej niechęci kombatantów z Zachodu. Po prostu ma on przeświadczenie, iż ZBoWiD to instytucja o krystalicznej przejrzystości, nie posiadająca najmniejszych powodów do analizy własnej przeszłości i swego stosunku do kombatantów, którzy szli do Polski inną drogą, a nie wszyscy doszli, bo im ta nowa Polska nie była po drodze.

Na to zgłosiłem nieśmiałą uwagę, że trudno wymagać entuzjazmu dla ZBoWiD-u od choćby generała (po 42 latach „chodzenia pułkownikiem") Skalskiego, którego prześladowcy należą do tej organizacji. Ci, którzy go zamykali, męczyli w czasie przesłuchań, a na koniec „skazali". Trudno o wspólną płaszczyznę działania dla tego, któremu powybijano zęby, i tego, który wybijał. Nawet jeżeli minęło trzydzieści parę lat.

Byłoby naturalnie nieprawdą twierdzić, że ZBoWiD jest zdominowany przez tych, którzy wybijali, ale ich obecność w szeregach zbowidowskich jest przecież faktem. Faktem nie tylko bolesnym i żenującym, ale dopominającym się o zwyczajne ludzkie zadośćuczynienie. Dobrze, aby w ramach rozstawania się ze stalinizmem.

Na ten wywód weteran wstał, spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział: „Nie wiedziałem, że pan z... opozycji!". Po czym się oddalił. Uczynił to pewnym, lotniczym krokiem.

Nie zdążyłem mu powiedzieć (może zresztą wiedział), że profesor Ewa Łętowska sformułowała kilka istotnych pytań, dotyczących podstaw prawnych funkcjonowania ZBoWiD w PRL. Jest to również zapewne przejaw przejścia do opozycji rzecznika praw obywatelskich. Nie wiem, czy i na ile pytania pani rzecznik wywołają entuzjazm w szeregach kombatanckiego monopolisty. Żyjemy jednak w czasach prostych pytań, na które muszą wcześniej czy później paść odpowiedzi.

Być może po uzyskaniu tych odpowiedzi weterani, którzy nie skąpili krwi na wszystkich frontach (nieważne: II światowej czy ojczyźnianej), lecz nie są w ZBoWiD-zie, będą z większą ochotą padać w objęcia towarzyszy broni z tej organizacji. Być może po nich przyjdzie kolej na kombatantów z Wysp Brytyjskich, Kanady, USA... Z pewnością jednak nie wcześniej.

W NUMERZE 5 ZAMIESZCZAMY:

✦ „OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII" ✦ LUBELSKI ZAMEK — „BIAŁA PLAMA" ✦ PRAWDA O INFLACJI ✦ WYWIAD Z PREZESEM FUNDACJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ ✦ LICEALIŚCI I STUDENCI O SOBIE ✦ JAKA POLSKA — JAKA WŁADZA? ✦ ŻYWOT J. ŁOBODOWSKIEGO — CD. ✦ AFERA „POLMOSU": KTO BRAŁ TĘ WÓDKĘ? ✦ STUDENCKA GWARA

„DEKALOG" KIEŚLOWSKIEGO

Jerzy Peltz

SPIESZĘ donieść, że „Dekalog", o którym tak było ostatnio głośno z okazji wręczenia Felixów w Berlinie Zachodnim, jest gotowy, a o renomie tego przedsięwzięcia świadczy fakt zaproszenia całego cyklu na tegoroczny festiwal filmowy w Cannes. Tak, to rzecz niemal bez precedensu, aby serial telewizyjny — oczywiście poza konkursem — został w ten sposób uhonorowany na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie wstęp mają utwory przeznaczone głównie dla kina.

Zanim powiem szczegółowiej o tym, o czym ćwierkają niektóre wróble na stołecznych ulicach, po kolaudacji „Dekalogu", która odbyła się przy Woronicza w ostatnich dniach grudnia 1988, wróćmy jeszcze na chwilę na areny ubiegłorocznych festiwali filmowych, gdzie dwa filmy cyklu w wersji kinowej święciły prawdziwe triumfy.

Specjalna nagroda jury dla „Krótkiego filmu o zabijaniu" w Cannes i Srebrna Muszla dla „Krótkiego filmu o miłości" na festiwalu w San Sebastian (oba filmy otrzymały też wysoko cenione nagrody FIPRESCI — krytyki filmowej) — to lawina wyróżnień, która w tak krótkim czasie nie spadła dotąd na żadnego polskiego twórcę. Dodajmy do tego Grand Prix festiwalu w Gdyni dla obu utworów ex aequo i Felixa dla najlepszego europejskiego filmu roku, czyli „Krótkiego filmu o zabijaniu" — a będziemy mieli pełnię szczęścia, której kinu naszemu ostatnio bardzo brakowało.

To, oczywiście, nie znaczy wcale, że polska kinematografia stała się nagle przodującą w Europie. Ten sukces należy ocenić w jego właściwych rozmiarach, tzn. oddać przede wszystkim sprawiedliwość autorom — reżyserowi Krzysztofowi Kieślowskiemu i scenarzyście Krzysztofowi Piesiewiczowi. Odkryli formułę niezwykle pojemną i nader zręcznie się nią posługując, zrobili cykl filmów bardzo uniwersalnych, a jednocześnie świetnie przystających do naszej rzeczywistości „tu i teraz".

Okazało się, że archetypy moralne, zawarte w Dziesięciu Przykazaniach patriarchy Mojżesza, są wciąż na czasie, że można je twórczo interpretować, znajdując w nich odbicie wielu problemów obyczajowych współczesności. Malkontent powie, że to tzw. mały realizm. Zgoda, lecz wzbogacony o aktualną publicystykę („Dekalog 5"), o walory humanistyczne, akcentujący odwieczną tęsknotę za prawdziwymi uczuciami („Dekalog 6") czy rozstrząsający ponadczasowe dylematy uczciwości wobec siebie i bliźnich („Dekalog 2"), zgody z własnym sumieniem w perspektywie wydarzeń historycznych („Dekalog 8").

Takie są tytuły dziesięciu godzinnych filmów Krzysztofa Kieślowskiego — inaczej niż w wersji kinowej. Całość jest przeznaczona dla małego ekranu; została zrealizowana na zamówienie i za pieniądze Telewizji Polskiej (choć w dwóch znanych już utworach kinowych partycypowała również kinematografia). Cały „Dekalog" ma być pokazany telewidzom jesienią br. Będzie to z pewnością duże wydarzenie artystyczne.

Jak można by określić znaki szczególne „Dekalogu", sprowadzić niejako cały cykl do wspólnego mianownika? Otóż jest co najmniej kilka cech wspólnych: 1. Dziesięcioro Przykazań — jako motywy, hasła wiodące; 2. współczesna Warszawa i jedno z jej nowoczesnych osiedli — jako miejsce akcji; 3. mieszkańcy tych osiedli, z reguły ludzie inteligentni, wykształceni — jako bohaterowie zdeterminowani okolicznościami, czasem, w którym żyją. Do tego dochodzi jednorodność stylistyczna, widoczna w dojrzałym warsztacie realizatorskim, w sugestywnym klimacie intrygi obyczajowej, jaki na ogół wszędzie udało się stworzyć Kieślowskiemu, wreszcie w świetnym prowadzeniu wybornych aktorów.

Ale jednocześnie poszczególne części „Dekalogu" bardzo się różnią od siebie — nie tylko tematycznie, bowiem ich waga społeczna, moralna, obyczajowa jest rozmaitej próby. Nie da się ukryć, że są wśród tej dziesiątki utwory znakomite, bardzo dobre i tylko dobre. I jeszcze jedno: każdy film był fotografowany przez innego operatora, np. „Dekalog 5" przez Sławomira Idziaka, a „Dekalog 6" przez Witolda Adamka. Również ich praca, ich artyzm — nadały tym filmom indywidualne piętno, zgodne z koncepcją reżysera.

A teraz donoszę pokrótce — o czym są kolejne części „Dekalogu". Nie ukrywam, że czynię to z lekką tremą, bowiem dobre obyczaje recenzenckie nie pozwalają pisać o dziełach, które nie były jeszcze publicznie rozpowszechniane. Z pewnością nie pozwalają pisać źle, lecz są bardziej tolerancyjne dla publikacji pochlebnych.

„Dekalog 1" został oparty na przejrzystej intrydze. Młody naukowiec, pasjonujący się elektroniką i komputerami, zaszczepia swemu synowi w wieku szkolnym racjonalistyczny stosunek do świata i rządzących nim zjawisk. Prowadzi to do tragicznych następstw, prowokując bohatera do buntu przeciw Bogu. W rolach głównych: Maja Komorowska i Krzysztof Baranowski.

„Dekalog 2" ma scenariusz znacznie bardziej skomplikowany, powiedziałbym — przewrotny. Chodzi tu, najogólniej biorąc, o stosunek do choroby i śmierci drugiego człowieka jako do kategorii ostatecznych. Wspaniałe aktorstwo Krystyny Jandy, żony chorego i Aleksandra Bardiniego, lekarza, uwiarygodnia tę opowieść, w której prawdopodobieństwo trzeba uwierzyć.

„Dekalog 3" jest związny z przykazaniem, abyś dzień święty święcił. Akcja toczy się w Noc Wigilijną, jej bohaterami są ludzie, którzy przed laty przeżyli wielką miłość, obecnie jednak nie potrafią się już porozumieć. W rolach głównych: Maria Pakulnis i Daniel Olbrychski.

„Dekalog 4" ma punkt wyjścia w sytuacji nieczęsto spotykanej, choć możliwej w teorii. Pod jednym dachem mieszkają ojciec z córką, lecz w rzeczywistości nie łączy ich żadne pokrewieństwo. Matka, która mogłaby dać świadectwo prawdzie, nie żyje. Dorastająca dziewczyna dowiaduje się o tym po latach... W rolach głównych: Adrianna Biedrzyńska i Janusz Gajos.

„Dekalog 5" i „Dekalog 6" to telewizyjne (krótsze) wersje kinowe „Krótkich filmów" o zabijaniu i miłości. Twierdzę, że „Dekalog 5" jest najlepszym filmem cyklu, a oba utwory w wersji tv zyskały na zwartości dramaturgicznej

„Dekalog 7" traktuje, oczywiście, o kradzieży, lecz znowu nietypowej, bowiem porywaczką małego dziecka okazuje się jego matka, co wynika ze skomplikowanej sytuacji rodzinnej. W akcję wpisane są elementy sensacyjne, ale psychologia bohaterów też odgrywa dużą rolę. Występują m. in. Anna Polony, Władysław Kowalski i Bogusław Linda.

„Dekalog 8" nawiązuje do lat okupacji. Ówczesne wydarzenie — chodzi o ukrycie żydowskiego dziecka — ma swoje reperkusje we współczesności. Jesteśmy w klimacie traktatu moralnego, który ewokuje różne punkty widzenia bohaterów. Czy osoba, która dała niegdyś fałszywe świadectwo, mówi dzisiaj prawdę? Ostateczny osąd należy do widza.

„Dekalog 9" to klasyczny melodramat z trójkątem: on, ona i ten trzeci. W warstwie psychologicznej — studium zachowań męża zazdrosnego o żonę, a przy tym cierpiącego na impotencję. Znowu doskonałe aktorstwo — Ewy Błaszczyk, Piotra Machalicy i Jana Jankowskiego.

„Dekalog 10" został zrealizowany w stylu gorzkiej komedii obyczajowej, bo i ten gatunek nie jest obcy Krzysztofowi Kieślowskiemu. Dwaj synowie, grani przez Jerzego Stuhra i Zbigniewa Zamachowskiego, dziedziczą po ojcu zbiór znaczków pocztowych olbrzymiej wartości. Co z tego wynikło, zobaczymy już na małym ekranie.

Chyba, że ktoś z czytelników wybierze się wcześniej do Cannes...